Nr. 26 (1279). Warszawa, 8 Lipca (25) Czerwca 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Hoża Nr. 19.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

DARY.

Najistotniejsza różnicą między stronnictwami politycznymi u nas jest to, że jedne z nich domagają się w stosunku społeczeństwa polskiego do państwa rosyjskiego pewnych, określonych zmian szczegółowych, drugie zaś — założenia innej podstawy, na której wszystkie pojedyncze wypadki znalazłyby swoje rozwiązanie. W różnicy tej wyrażają się nietylko odmienne ilościowo stopnie pragnień i żądań, ale także odrębne jakościowe ich upostaciowanie. I tu właśnie tkwi ogromna nierówność wartości obu dążeń. Polityka bowiem kazuistyczna, zamknięta w granicach bieżącego życia i jego najpilniejszych potrzeb, wytwarza niepewną tymczasowość, ciągnący się w daleką przyszłość łańcuch z przeplatanemi ogniwami próśb i targów, który niczem nie ubezpiecza skutków osiągniętych i nie usuwa przyczyn nieprzerwanego z obu stron rozdrażnienia. Natomiast polityka zasadnicza chce stworzyć położenie trwalsze, z natury swojej wyłączające możliwość dowolnego usuwania podwalin współżycia i dozwalające tylko na doskonalenie jego budowy. Tamta z kapitału energii społecznej strąca znaczną sumę na ciągle odnawianą, jawną lub skrytą walkę i niezmiernie długi proces o niewypłacone raty ustępstw, ta pragnie uzyskać od dłużnika jak największe i natychmiastowe pokrycie pretensyi a całkowity zapas sił zużytkować w teraźniejszości na rozwój kulturalny. Tamta wreszcie przyjmuje obecny grunt państwowy za niezmienny a w nim dotychczasowe źródło prawa za jedyne i niewyczerpane, ta przechodzi teoretycznie na grunt zmieniony i przypuszcza w nim nowe źródła ustawodawcze.

Z tych dwu różnych stanowisk odmiennie wyglądają i są oceniane te poprawki w warunkach naszego życia społecznego, które nam przyniosła ostatnia doba i które zwłaszcza wyraziły się w uchwałach komitetu ministrów.

W dość krótkim różańcu „ustępstw", najgrubszą, bo całości państwa dotyczącą paciorką jest przedstawicielstwo narodowe, z początku nazywane „soborem ziemskim" a obecnie „dumą". Wątpię, czy w całej historyi świata dałby się odszukać drugi przykład takiego nieustosunkowania słów do czynu, jak w tej sprawie. Od roku blizko dziennikarstwo rosyjskie obraca ją na wszystkie strony, wyciąga z niej i ogląda najdrobniejsze włókna, mówi o niej tak, jak bajka o żelaznym wilku, podnosi wątpliwości, które już dawno wątpliwościami być przestały, zapowiada w niej zwroty, które się nie spełniają i dla których niema dostatecznych sprężyn, przez kolumny gazet toczą się szerokie rzeki teoretycznych rozpraw, z których dziś już powstało olbrzymie morze atramentowo-konstytucyjne, dlatego tylko niezalewające i nietopiące wszystkich innych przedmiotów myśli, że szybko wsiąka w papier. Właściwie dotąd realne prawdopodobieństwo powołania owej reprezentacyi narodowej istnieje o tyle, o ile rząd w zasadzie ją przyjął, a w projekcie Bułygina ucieleśnił. W granicach tego, zresztą raczej odgadywanego, niż znanego projektu wyznaczono 30 — 40 miejsc dla Polaków. Zwolennicy stopniowych nabytków pochwycili to nowe sitko i zawiesili je na kołku. Sama możliwość zajęcia kilkudziesięciu krzeseł w „dumie" tak ich odurzyła, że zapomnieli zupełnie spytać: co zasiadający na nich robić będą i czy bezwzględnie pozostać tam winni. Tymczasem lekki wysiłek rozumu ostrzegłby ich, że należy z tego wezwania korzystać bardzo ostrożnie. Stosunek 40 do 600 w parlamentaryzmie przedstawia dla mniejszości znikomą nadzieję zwycięstwa. A wtedy do czegóż schodzi obezwładnione przedstawicielstwo? Do czczej parady, do ozdabiania się pustym tytułem, do dziecinnych krzyków na głuchej puszczy. Gdyby tylko to! Ale co gorsze, udział bez siły w pracach i uchwałach przeciwko niej wymierzonych uprawnia je i nadaje im pozory sprawiedliwego odważania słuszności. Przez tyle lat najwyższym ideałem było dla nas równouprawnienie, że ono ciągle jest formułą dążeń i życzeń dla najpospolitszych tłomaczów i wyrazicieli opinii ogółu. Zaledwie ludzie głębiej przenikający i dalej patrzący — dostrzegają w tym kierunku wielkie niebezpieczeństwo i domagają się właśnie różnouprawnienia. Tych nie nęci i nie oczarowywa owe 30 krzeseł, sądzą oni, że należy je zająć po to, ażeby z nich uzasadnić konieczność wytworzenia odrębnej narady dla odrębnych spraw. Kto do tej roli nie ma chęci lub zdolności, niech jej nie podejmuje, gdyż za złe odegranie jej może być napiętnowany sromotą. Ażeby wszakże ze złego uświadomienia sobie przeznaczeń naszej reprezentacyi nie wynikła dla niej kompromitacya a dla narodu nieszczęście, należy wcześnie rozjaśnić w opinii publicznej główne zadanie naszej polityki pod obecną datą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Pokój mniej ma dziś widoków niż przed dwoma tygodniami. Te pobudki naczelne, które ukazano w poprzednim artykule objawiają się w wyraźnej niechęci obu stron do zarządzenia rzeczywistych już, a nie dopiero przedwstępnych, wywiadowczych układów. Gdyby nie ta niechęć, mielibyśmy już zawieszenie broni zawarte między obu wodzami, mielibyśmy i jego podłoże polityczne: obustronne, wytknięte granice żądań i ustępstw. Dyplomacya rosyjska nie przestaje ustawiać dekoracyi, wyobrażających niezłomną potęgę i niezłomną też wolę prowadzenia wojny aż do zwycięstwa—wobec długiego, nieprzerwanego żadnym większym czynem pasma klęsk dotychczasowych teza nietylko nierozumna, ale wręcz wyzywająca losy przeciwne do przygnębienia Narodu Rosyjskiego większemi jeszcze klęskami. Tymczasem krew się leje. Ojama prowadzi działanie, przypominające początkowe walki pod Liao-jangiem i Mukdenem. Nie można jeszcze z przebiegu ich, pomyślnego dla Japończyków, wnosić o rezultacie, jeśli się nie chce zabawiać we wróżbiarstwo i jasnowidztwo, ale dziś już powiedzieć potrzeba, że owa pewność siebie, którą tchnie akt przez gen. Liniewicza i jego podkomendnych podpisany, jest raczej nadętością pychy, niż stwierdzeniem tej siły duchowej i umysłowej, którą każdy sztab poważny uosabiać w sobie powinien.

W sprawie marokańskiej groźny był dzień 22 z. m. Tego dnia p. Rouvier wyprawił depeszę do Berlina: na konferencyę przystaje, ale pod warunkiem omówienia pierwej postanowień, które na niej zapaść mają. Opinia dziennikarska i giełdowa zrobiła z depeszy jakiegoś groźnego smoka: widziano już poruszane wojska na pograniczu, widziano pociągi wojskowe, odchodzące z Paryża. Dni następne przyniosły uspokojenie: Rouvier rokował ciągle z Radolinem i Bihaerd miał d. 24 z. m. rozmowę z Bulowem. Sprawa znajdowała się na drodze zwykłego szalbierstwa dyplomatycznego: w stanie zatem pomyślnym, dalekim od grozy wojennej. Może być, że na wszelki przypadek Francya potajemnie zapewni sobie pomoc Anglii, może ją pozyskać; ale niema ani chęci, ani odwagi wystarczającej do wojny. Cesarz Wilhelm także namyśla się: czy wyzwanie Anglii nie będzie zbyt ryzykownem dla państwa bojaźni bożej. Zresztą ten milion franków, jaki handel niemiecki zarabiać dziś może na handlu z Marokkiem, jest tak śmiesznie małym powodem do orężnego starcia, że tylko podrażnienie imaginacyi cesarskiej wytłómaczyć zdoła zajęta podstawą. Wilhelm II chciałby zrobić coś wielkiego, ale sam nie wie: co i jak? Dyplomacya francuzka, przeciwnie, ma cel jasny; nadaje jej to wyższość, którą potrzebuje tylko wyzyskać, aby ostatecznie wygrać. Powinna być jednak stanowczą, nie lękać się widma wojny, czuć za sobą naród, a zadania swoje w Marokku ukształtować w sposób praktyczny, wytwarzający przewagę samemi kulturalnemi usługami dla sułtanatu i jego ludności.

D. 21 z. m. przedstawiło się sejmowi węgierskiemu nowe niekonstytucyjne ministeryum. Nie pozwolono mu odczytać reskryptu nominacyjnego, tamowano czytanie drugiego, odraczającego Izbę do 15 września. Gdy wreszcie obie te formalności spełniono i Fejervary z orszakiem swoim urzędniczym wyszedł, ślady stóp jego oplwano, a Banffy wniósł przez aklamacyę przyjęte żądanie, aby naród wezwać do niepłacenia podatków, odmówienia rekruta i kwoty. Z ław Izby odzywał się krzyk „Norwegia", symbolizujący chwilę, do owej w stortingu podobną. Jeżeli dotychczas nazwa *ex-lex* mogła być nadużywaną, odtąd jest już najzupełniej słuszną: Węgry nie mają rządu prawowitego, nie mają i prawowitego monarchy, bo nie mają ministrów konstytucyjnych z łona przedstawicieli narodu wybranych i uznaniem ich uprawnionych. Fajervary wręczył d. 23 dymisyę gabinetu, ale jej Franciszek Józef nie przyjął: nic im nie przeszkodziło się usunąć; ale oni woleli pozostać przy królu, niż przy narodzie. Wszystkie stronnictwa opozycyjne wytworzyły wspólny komitet wykonawczy, który nadzwyczaj łatwo zamienić się może w rewolucyjny.

W stosunku Szwecyi do Norwegii poprzedni stan wojny politycznej, w niczem się nie zmienił.

Dawno już Europa nie była tak zajmującą jak w chwili obecnej.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Jeszcze o chaosie.

Kiedy Poseł Prawdy przed kilku tygodniami stwierdził w naszem życiu polityczno-społecznem chaos, obezwładniający wzajemnie walczące z sobą żywioły i skazujący je na niemoc, zarzucano temu spostrzeżeniu nietylko krótkowidztwo, ale nawet zniewagę dla majestatu potęgi, która rozkazuje naszym chęciom i rozumom a zostaje pod wyłączną opieką najszybszych laufrów historyi. Niejaki p. Warski, straszny radykał, który nadzwyczajnie lubi *aboyer à la lune* i żałuje zapewne, że ma tylko jedne usta do opluwania całej lewicy naszego dziennikarstwa, wystrugał sobie z tej sprawy drewnianego konika, na którym przez kilka tygodni harcował po błoniach *Głosu*, tratując i kłójąc dzidą urojonego smoka. P. J. Wł. Dawid, który od czasu zajścia z p. W. Rabskim widzi go we wszystkich i wszystkiem, potraktował nas odpowiednio i wydał ten ton, którym weseli posłowie niemieccy witają w sejmie nienawistne im mowy: *auu!* To *auu* powtórzyło się echem w kilku kapliczkach „jedynego zbawienia", w których ambona nigdy nie jest próżną a kaznodzieje ogłaszają z niej nową ewangelię pod postacią oszczerstwa i wymyślania. Tymczasem w sferach, w których unoszą się fermenty rozkładu, śmierci i narodzin życia, widocznie szybko mnożyły się objawy rozstroju: przeróżnie ubarwione odezwy z kilkodniową żywotnością wylatywały rojami jak motyle, wybuchały nagle zagadkowe bezrobocia, które nie ujawniwszy swego powodu i nie osiągnąwszy żadnego celu, upadały; ruchy mas ludowych zdradzały bezład i brak stałego kierownictwa; ogół, który początkowo je pojmował, następnie patrzył zdumiony na jakieś żywiołowe miotania się, których nikt wytłomaczyć nie umiał — słowem odbywało się coś niezrozumiałego, bezprzykładnego i fatalnego. Nareszcie przyszła krwawa tragedya, która się rozegrała w Łodzi i w Warszawie. I znowu po za zwykłymi czynnikami, które jej przebiegowi nadały ostry i bolesny charakter, których tu oceniać nie będziemy, zjawiły się na scenie pierwiastki, dmuchające w każdy społeczny płomień, jątrzące każdą ranę, gotowe zawsze swój nikły tryumf opłacić kosztem najstraszniejszych cudzych ofiar. Po części sekciarze z jednokomórkowym mózgiem, po części zwyrodniali doktrynerzy, po części bezmyślne pyszałki, wodzowie samych siebie, niewywierający prawie żadnego wpływu na rozwój życia ludu roboczego i czatujący tylko ze swymi podszeptami na jego chwilę gniewu i unicsienia, ludzie, którzy tak przeskakują i tak lekceważą wielkie okresy historyi, jak wązkie i brudne rynsztoki, ludzie którzy umieją tak wzgardliwie rozdeptać cały naród,

---

4)

LEON RYGIER.

DROGI.

„Tylko młodzieńczością myśli tłomaczyć można dążenie do nadprzyrodzonego; intelekt dojrzały nie wie zgoła, jak się obchodzić z cudownem".

Takie słowa wyczytałem w jednej z moich surowych, nieubłaganie pogardliwych książek. Autor jej traktował mię, jak biedne, zbłąkane dziecko; upominał, dawał rady, wskazywał drogę.

A ja korzyłem się przed jego argumentami. Nie zrozumiałem tylko jednej rzeczy: jego pewności siebie.

Bo jak zrozumieć człowieka, który głosem spiżowym, ani na chwilę nie zdradzającym przerażenia lub upadku sił, głosi z katedry takie myśli:

„Ale może ty dążysz do poznania i absolutnej prawdy. Jakiż z ciebie głupiec w takim razie. Absolutnej prawdy niema, jest tylko prawda względna. Dla człowieka np. zawiera się ona w poznaniu wszystkiego, co jest dostępne jego pojmowaniu — w osiągnięciu poznania, które dla niego, jako dla człowieka, miałoby swe rozumne usprawiedliwienie. Więcej osiągnąć nie zdoła. I jeżeli ludzkość rozwiąże kiedyś wszystkie zagadnienie w zakresie tych zdolności, które posiada, jeżeli wypracuje usprawiedliwiony przez rozum ludzki wszechobejmujący światopogląd—to pojmie wreszcie prawdę—ale prawdę ludzką.

Ale czyż może istnieć dla człowieka jakaś inna prawda? Ten kto wierzy w możliwość poznania wyższej prawdy przy pomocy nieuchwytnych, nadnaturalnych wyobrażeń, sam błądzi gorzko i innych w błąd wprowadza. To, co znajdzie, będzie wiarą, a nie prawdą—będzie dogmatem.

Oto są dogmaty ludzi bez dogmatu. Oto jest kult okrutny ludzi, nienawidzących kultu.

Oto jest nieskończenie smutne kopanie fos i palenie mostów, po których przychodzi do duszy ludzkiej jej brat najukochańszy i jej najcichsza prawda.

. . . .

Jestem cały jak instrument muzyczny, oczekujący mistrza. Nerwy moje są jak struny, niecierpliwie łkające milczeniem. Po strunach tych pełga ogień niewidzialny, trawiący swą niewidzialnością. Pieśń w nich drzemie, dręczona okrutnie letargicznem przerażeniem własnej grób zimny wskazującej niemocy. Struny dreszczem zimnym i gorączką płomienną naprzemian wstrząsane—oto jest biedne jestestwo moje...

Ach — obłoku wędrowny, słońcem przesycony, nie odpływaj, nie odpływaj wdal... Nie kryj mi się za boleśnie wyraźną linię horyzontu. Niechaj się nasycą twą pięknością oczy moje, rozkochane w kształtach zmiennych i rozwiewnych, w twórczych metamorfozach dyszącego tęsknotą Chaosu....

Ach—obłoku wędrowny, słońcem przesycony...

Bądź jeszcze przez chwilkę królewską łodzią mojego marzenia... Płyńmy razem po błękitnem morzu nieskończoności, wśród pian rozkołysanych rytmicznym oddechem nieprzeminionego czasu... Płyńmy razem w dal niedościgniona po wielkim okręgu pierścienia pierścieni...

. . . .

jak kopiec termitów—ci ludzie, postanowili wicher społeczny skierować na skrzydła swego partyjnego wiatraczka i mleć nim puste ziarna jałowej doktryny.

Z tych starań zrodziło się coś bez głowy, bez kształtu, bez zdrowego życia—a huczące, spienione, drgawkowe. Co to jest?—pytano zewsząd nietylko u nas, ale także zagranicą. To jest... chaos—odpowiadali sobie wszyscy po za kołami jego sprawców i zwolenników. *Kuryer Codzienny*, którego nie można posądzić o miłość dla starego ładu, powiada:

„Widzimy przed sobą bezmiar niedoli, głodu i łez, oraz taki chaos w myślach i planach, że dzisiaj kraj nie byłby zdolny do powzięcia zgodnej uchwały w najważniejszych sprawach swoich.., Są ludzie i grupy całe, co niepomni na to, że niewolno nadużywać uczuć i podniecenia mas szerokich, że zbrodnią jest ciskać lekkomyślnie żagiew pomiędzy nagromadzone materyały palne, z godną napiętnowania lekkomyślnością rzucają się w wir i nawołują do czynów tytanicznych, głosząc hasła, których jednym skutkiem wobec dzisiejszych warunków zamęt i osłabienie sił społecznych, jedynym zaś celem, niestety—reklama własnej grupy, czy partyi.“

Jakiej partyi? Przyłączmy się do ogólnej dyskrecyi, która rzuciła na nią zasłonę i nie wymieniła jej nazwy. Jest to dotychczas jeszcze ciążący na nas dług szczególnych warunków. Natomiast winniśmy wystąpić przeciwko fałszowaniu lub upraszczaniu złożonego objawu w opinii publicznej. Pisma dla alarmu i obrony wystrzeliły w stronę „ludzi złej woli“, *Kuryer Warszawski*, główny organ filisterskiego mieszczaństwa z piszczałką narodowo-demokratyczną, wierny swej tradycyi płytkich analiz, wystąpił z artykułem „My a oni“, w którym rozwiewa złudzenie że „strajki nasze to pikiety ruchu politycznego“, twierdząc, że „bezrobocie jako broń do wywalczenia swobód politycznych jest narzędziem tępem“, że „ideą przewodnią strajków jest wyzyskanie mienia narodowego, tęsknot i dążeń polskich na korzyść międzynarodówki“, że kraj został zrujnowany ekonomicznie i że wszystkiego tego wbrew szczerej woli większości robotników, dokonali przywódcy „rozmaitych socyaldemokracyi“. Poprowadzono nawet do ataku na redutę „socyalistyczną“ jakichś robotników „stojących na gruncie programu narodowo-demokratycznego“, którzy ogłosili, nie wiadomo dlaczego bezimienny, protest przeciw „komendzie socyalistycznej“, skoro spełnili czyn tak piękny a słowa ich „mają groźbę młota wzniesionego“. W tym poryku, w tej redukcyi zjawiska i w tej figurze z „groźbą młota wzniesionego“ łatwo rozpoznać wytartą banalność sądu, nałogowe wyprowadzanie na widownię manekinów, mających swą automatyczną prawomyślnością pokonać żywych niepoprawnych i starą torbę, w którą się pakuje pod jednem imieniem najrozmaitsze rzeczy.

Obrońca narodu przed Hunnami socyalistycznymi zdaje się nic o tem nie wiedzieć, 1) że robotnicy podlegać muszą i będą „komendzie“, która pilnuje ich dobra a wszędzie i zawsze nosi tę samą nazwą, drobne zaś ich oddziałki, maszerujące pod inną chorągwią, są rodzajem gwardyi papieskiej, strasznie uzbrojonej, ale służącej tylko do dekoracyi; 2) że bezrobocia już uznane zostały w ustawodawstwach postępowych, a w rosyjskiem mają być uznane za zmowy całkiem uprawnione; 3) że o ile określały one same swój charakter, zawsze uwydatniały również barwę polityczną; 4) że „polska partya socyalistyczna“ a więc ta, która ogarnia ogromną większość robotników zorganizowanych, osobną odezwą wzywała ich do zaprzestania strajkowi podjęcia pracy a w ostatnich tygodniach oświadczyła się przeciwko ciągłemu a bezplanowemu wznawianiu buntów robotniczych. A więc dlaczego one wybuchały, skąd powstał chaos, który się tak okrwawił? Jeszcze raz wyłączamy z pod naszych rozważań wpływy, które przychodziły z zewnątrz i tamujące ruch, wytwarzały w nim starcia, gdyż te przyczyny leżą po za obrębem naszej krytyki; odpowiadamy na pytanie tylko w granicach samego procesu społecznego. Robotnicy nasi tedy ulegli działaniu potężnych prądów, przenikających całe państwo; walka polityczno-ekonomiczna, którą podjęli i stoczyli przy wielkich ofiarach, wprawiła ich w stan wysokiego rozdrażnienia, które im nie pozwalało ani utrzymać się w równowadze, ani oceniać należycie położenia, ani nawet baczyć na własne interesy, natomiast czyniła ich skłonnymi do uniesień i ulegania podniecającym namowom; stan ten coraz bardziej się wzmagał nietylko skutkiem drażniących zapasów, ale także skutkiem postępowania niektórych fabrykantów (zwłaszcza łódzkich), którzy cofnęli swoje ustępstwa; armia robotnicza, z początku karna, pod działaniem klęsk, strat, rozjątrzeń i poduszczeń, ogłuchła na komendę swych przywódców i słuchała głosu albo własnych chwilowych pragnień, albo przygodnych kusicieli. Ci właśnie, mała grupka głodnych ambicyj, ludzi, którzy w braku lepszej chwały, nasycają się sławą iskier padających na prochy,—zdezorganizowali robotników i wytworzyli ten zamęt, z którego śmierć zebrała obfite, a głód zbierze jeszcze obfitsze żniwo.

Zdaje się wszakże, że instynkt samozachowawczy łącznie z rozumem położył już tamę chaosowi. Naturalnie nie jest to tama w duchu napomnień *Kur. Warsz.* i owej jego winiety, przedstawiającej narodowego demokratę z „podniesionym groźnie młotem“, który doskonale przydałby się jako obrazek na bombonierkę; ale jest to powrót na drogę niebiegnącą przez pole awantur bezmyślnych i bezładnych. Jesteśmy przekonani, że robotnicy daleko prędzej wyjdą z chaosu, niż ci, którzy ich karcą a swojego własnego odmętu nie widzą.

Go—on.

Pod berłem pruskiem.

Wiec „Straży“. — Kandydatura p. Brejskiego — Na Kaszubach. — Polszczenie się Rawicza. — T. Kalkstein.

Pierwszy wiec publiczny „Straży“ — nowego stowarzyszenia, o którem już pisałem w poprzednim liście, odbył się w Poznaniu przy bardzo licznym udziale publiczności. Sprawa „Straży“, mającej być przeciwwagą „Ostmarkervereinu“ hakatystycznego, zainteresowała bardzo szerokie koła społeczeństwa polskiego, to też już obecnie wpisało się w poczet jej członków wcale sporo ludzi różnego stanu.

Na pierwszy wiec „Straży“ przybyło do 1000 osób, w tem sporo dziennikarzy i posłów. W swojem zagajeniu inicyator związku, p. Kościelski, pokrótce scharakteryzował cele nowej organizacyi, poczem poszczególni referenci przeszli do zobrazowania oddzielnych punktów programu. Mówiono o położeniu ekonomicznem kraju i o zadaniach „Straży“ na tem polu, o położeniu kulturalnem ludności polskiej i pracy kulturalnej, o stanowisku prawno-państwowem Polaków pod berłem pruskiem i t. d. W końcowem przemówieniu poseł Dziembowski podsumował to, co mówili referenci, i wysnuł wnioski logiczne z ich przesłanek. W przemówieniach zaznaczono niejednokrotnie, że „Straż“ nie robi żadnych różnic pod względem politycznym lub stanowym pomiędzy swoimi członkami. Nie bawiąc

---

Domu mojego nie zamykam nigdy.

Wczoraj w nocy długo pisałem. Zmęczyło mię to pisanie, zmęczyły łzy, które potokiem rzęsistym spłynęły z głębi roztęsknionej duszy.

Potem jeszcze—przed samym świtem—wyszedłem do lasu. Patrzyłem na wyłaniające się z szarej masy czarne, dziwne kształty drzew — zatrzymywałem się przed niemi i rozmawiałem z niemi językiem wspólnym wszystkim tworom. Rozmawiałem z niemi tą płomienną, żądną unicestwienia wszelkiego ja i wszelkiego nie ja miłością—i smutkiem poczucia własnej fragmentaryczności—i mistyczną ekstazą zachwytu nad tem, co jest, i nad tem, co by być mogło, gdybym przejrzał...

Bo gdybym przejrzał, to czuję, że bym się przekonał napewno i nazawsze, iż wszelkie przeciwstawienie i wrogość nie istnieją. Przekonałbym się, że moje oczy i to, co widzą moje oczy, są jednem pięknem tylko, jednym dobrem tylko, jedną prawdą tylko... Przekonałbym się, że ja i mój brat tęskniony, wywoływany naprożno z mroków nieujętego—to jeden doskonały człowiek, jeden doskonały duch...

I łzy moje gorące, zmieszawszy się z chłodną rosą przedświtu, padłyby na urodzony nagle, cudny, śniony kwiat przyszłości, w której by się zbiegały razem wczora i jutro, aby w nierozerwalnym, świętym związku spłodzić nieśmiertelność.

Chodziłem długo po miękich mchach, które całowały moje stopy,—i wyciągałem ręce ku gasnącym gwiazdom—i wsłuchiwałem się, drażć, w głosy zatraconego w bezkonturowości mrocznej i nieświadomości samej świata, który wołał na mnie, abym przyszedł na gody wielkie, na gody święte, na gody miłosne dobrego, pięknego, nieśmiertelnego Pantum... Abym wychylił czaszę pokoju i unicestwienia w niezniszczalności...

A potem wróciwszy do domu, rzuciłem się na łoże i spałem snem twardym i spokojnym.

Rano przyśniło mi się, że przyszedł do mnie mój brat...

Radość bezmierna zbudziła mię naraz. Zerwałem się ze snu i jąłem wołać:

— Bracie!... Bracie...

Na środku pokoju stał on... Mówił coś do mnie... Co—nie pamiętam... Gdy mi wróciła przytomność, ujrzałem żebraka w łapciach i szarej świtce, który prosił o grosz. Miał twarz ogorzałą koloru ziemi i oczy jasne, pogodne. Siwa broda spadała mu na piersi. Wiało od niej zapachem rozmiękłych dróg i chłodem poranku.

Przyjął jałmużnę i odszedł, nie odmawiając zwykłej modlitwy.

. . . .

Z mroków wątpień i wahań bolesnych zaczynają mi się powoli wyłaniać mgliste zarysy prawdy. Mam dziwne wrażenie: oto wydaje mi się, że nieruchome i mętne źrenice mojej duszy zadrgały nagle pierwszy raz w życiu poczuwszy światło...

A wrażenie to jest tak słodkie, tak słodkie...

. . . .

Nieraz — niewdzięczny — przeklinałem gorzko kulturę. Teraz zaczynam rozumieć, jak byłem niesprawiedliwy. Wszakże ta sama moc, która pozwala nam rozłożyć białe światło słoneczne na siedm kolorów tenczy,—uczy nas, jak z tych siedmiu kolorów otrzymać biały. Niszcząca praca analizy jest tylko zakładaniem fundamentów pod wielką, wspaniałą świątynię syntezy.

Filozoficzne dociekania mej kulturalnej myśli zburzyły mi pierwotną wiarę—ale oto już zaczyna wznosić się nowa budowla.

się w politykę, chce bronić ludności polskiej przed nawałą germanizacyi i hakatyzmu. Ciekawe, czy nowe stowarzyszenie potrafi utrzymać się na tem stanowisku bezpartyjnem i objektywnem... Charakterystyczne, że pomiędzy referentami na wiecu—wbrew wszelkiej tradycyi, obowiązującej w Poznańskiem, nie było ani jednego księdza. A i pomiędzy zebranymi, księży była zaledwie drobniutka garstka. Czyżby kler, tak pochopny tutaj do przewodniczenia, kierowania i reprezentowania, uważał „Straż” za teren dla siebie nieodpowiedni?

Prasa hakatystyczna nie posiada się ze złości z powodu zorganizowania „Straży” i z góry stara się opinię niemiecką zastraszyć tem, że powstała nader niebezpieczna placówka „wielkopolska”, wymagająca skupienia wszystkich sił do obrony „zagrożonej” niemczyzny na kresach wschodnich. Hakatyści domagają się, aby rząd bacznie śledził działalność „Straży” i nie dopuścił do pokrzywdzenia przez nią żywiołu niemieckiego.

W okręgu chełmińsko-toruńskim, gdzie z powodu unieważnienia mandatu poselskiego p. Brejskiego, wkrótce odbędą się ponowne wybory, wre zapamiętała akcya księży przeciwko jego kandydaturze. Już w roku 1903-im księża wraz z niedobitkami szlachty polskiej, jakie jeszcze pozostały w tym okręgu, wszelkiemi sposobami starali się uniemożliwić tak kandydaturę jak i wybór redaktora „Gazety Toruńskiej”. Dochodziło do tego, że klika klerykalna wolała zaniechać myśli — zdobycia okręgu, byle tylko Brejski nie dostał się do parlamentu. W swoim czasie opisywałem wszystkie te sztuczki i wybiegi, do jakich uciekali się księża zachodnio-pruscy, aby nie dopuścić do parlamentu obu kandydatów demokratycznych — Brejskiego i Kulerskiego. Usiłowania te spełzły na niczem i obaj znienawidzeni przez klerykałów kandydaci zostali posłami. Na tem stanowisku p. Brejski w dalszym ciągu był celem zatrutych pocisków ze strony klerykałów, zwłaszcza, że wywiązywał się ze swych zadań jako przedstawiciel wyborców rzemieślników, robotników i chłopów, zupełnie uczciwie. Jego stanowisko ludowe w rozmaitych sprawach ekonomicznych przysporzyło mu niemało kłopotu. W jednym wypadku „Koło Polskie” uznało nawet za stosowne otwarcie i urzędownie oświadczyć, że się z wywodami swego kolegi nie solidaryzuje. Było to po jego mowie w sprawie robotników rolnych, wygłoszonej w duchu wręcz odmiennym od egoistycznie klasowego, junkierskiego stanowiska większości „Koła Polskiego”.

Unieważnienie mandatu p. Brejskiego, dokonane przy współudziale „sojusznika” „Koła Polskiego”—klubu centrowców, wywołało nową kampanię ze strony klerykałów przeciwko p. Brejskiemu. Władze wyborcze Prus Zachodnich, pozostające w ręku księży, wrogich opinii większości wyborców okręgu toruńsko-chełmińskiego, postanowiły już z góry przeciwdziałać kandydaturze p. Brejskiego. Ten ostatni, widząc zaciekłość swoich przeciwników i rozumiejąc, jak trudnem będzie w tych warunkach zdobycie mandatu, oświadczył, że nie chce już kandydować. Ta wiadomość wywołała wielką radość w kołach konserwatywno-klerykalnych, ale ci, od których właściwie zależy wybór posła, ani chcą słyszeć o tej rezygnacyi. Wyborcy p. Brejskiego twierdzą, że nie może on dowolnie zrzekać się postawienia kandydatury, gdyż kandydatura ta, postawiona w r. 1903-im, nie straciła dotychczas swej mocy prawnej. P. Brejski jest kandydatem i pozostanie nim aż do wyboru, ponieważ kandydatura jego została uchwalona na lat pięć i wyborcy nie mogą zmieniać swego postanowienia z tego jedynie powodu, że parlamentowi podobało się jego mandat unieważnić. Na tem stanowisku stanęła i „Gazeta Grudziądzka” p. Kulerskiego—pismo cieszące się olbrzymim wpływem w Prusach Zachodnich.

Księża, wichrzący przeciwko p. Brejskiemu, nic sobie naturalnie nie robią z opinii wyborców, ale już na pierwszem ich zgromadzeniu intrygi klerykałów spotkały się z kompletnem fiaskiem. Olbrzymia większość wyborców oświadczyła się za kandydaturą p. Brejskiego *). Nie należy jednak przypuszczać, że klerykali zaniechają walki. Dla nich kwestya zdobycia albo utraty okręgu jest niczem w porównaniu z porażką albo zwycięztwem znienawidzonego przeciwnika. To też z pewnością wysilą się, aby okrąg toruńsko-chełmiński raczej przepadł dla Polaków i został zdobyty przez Niemców, aniżeli miałby być reprezentowany przez p. Brejskiego. Osiągnięcie takiego wyniku przyjdzie im z tem większą łatwością, że wybory odbędą się w porze letniej, kiedy całe mnóstwo robotników polskich wychodzi na zarobki.

*) W ostatniej chwili dowiaduję się, że wyborcy powiatu wybrzeskiego, zebrani w Kowalewie, pomimo usiłowań przewodniczącego komitetu wyborczego—ks. Bolta - jednomyślnie oświadczyli się za kandydaturą p. Brejskiego.

Niewesołe wieści nadchodzą z innego zakątka Prus Zachodnich — z powiatu kościerskiego, zamieszkanego przez Kaszubów. Na ten powiat zwróciła uwagę komisya kolonizacyjna, działając tu według z góry określonego planu. Powiat kościerski, położony na południowym krańcu Kaszub, nadaje się do oskrzydlenia i do oderwania terytoryalnego od reszty Prus Zachodnich i od Poznańskiego. To też na ten powiat Komisya kolonizacyjna skierowała swe wysiłki przedewszystkiem. Kiedy bowiem według jej memoryału na rok 1904 kaszubskie powiaty pucki i wejherowski zostały zupełnie przez nią pominięte; kiedy w powiecie kartuzkim, graniczącym na północy z kościerskim, Kolonizacya nabyła tylko cztery dobra obszaru 1900 hektarów i osadziła 27 Niemców, kiedy w powiecie gdańskim łupem Kolonizacyi stało się około 1500 hektarów (31 kolonistów), a w terawskim 2830 hekt. (50 kolonistów), to w kościerskim rzecz się przedstawia daleko groźniej. W powiecie kościerskim Komisya kolonizacyjna nabyła aż 14 majątków, obejmujących 7342 hektarów za przeszło 3½ miliona marek i osadziła 314 familij, zbudowawszy dla nich 6 nowych szkół, jeden dom modlitwy i dwa zbory ewangelickie. Coprawda, ziemia nabyta przez Komisyę kolonizacyjną, znajdowała się poprzednio w rękach właścicieli niemieckich tak, że pod tym względem nic się nie zmieniło. Ale w każdym razie zamiast jednej rodziny Niemca, właściciela większej posiadłości, u którego pracowała ludność robotnicza polska, obecnie na tym samym kawałku ziemi mieszka kilkanaście familij kolonistów.

Ale nietylko Komisya Kolonizacyjna rzuciła się na południowe kresy kaszubskie. W powiecie kościerskim działa szereg innych, pokrewnych jej instytucyj antipolskich. Taką innstytucyą jest „Landbank”, który natychmiast Niemcowi wypowiada kapitały amortyzujące się w ciągu lat 50, jeśli ten swą posiadłość sprzeda Polakowi. W duchu kolonizacyi używany jest i tak zwany fundusz depozycyjny, który udziela urzędnikom pożyczki na budowę domów własnych na 4%, z którego 2% odlicza się na amortyzacyę. Urzędnik, sprzedający swój dom, płaci karę konwencyonalną, wynoszącą 20% udzielonej pożyczki. Spółka reiffeisenowska w Kościerzynie udziela pożyczek tylko Niemcom. Spółka ta zasila swymi funduszami specyalnie na powiat kościerski utworzoną „Deutsche Ansiedelungsgenossenschaft in Berent” — instytucyę służącą wyłącznie do wykupywania po-

---

Każde z przeczuć świadomej swej nieśmiertelności duszy, oczyszczone ze wszystkiego, co jest trwogą i niewolnictwem, wypalone w ogniu męki na czysty dyament potęgi,— jest cegłą w tym nowo powstającym gmachu.

I wzniesie się nowa wieża Babel, ale ta szydzić już będzie z postanowień bezlitosnego fatum.

. . . .

Fałszem jest, że możemy poznać tylko prawdę ludzką. Rozróżnianie pojęć „człowiek”? „nie-człowiek” jest w nas tylko nałogiem i przeżytkiem. Co znaczy śmieszny aksyomat: „jesteśmy tylko ludźmi”? Czyż nie sprawiedliwiej byłoby powiedzieć: „jesteśmy aż ludźmi”...

Oko nasze nie obejmuje świata, ono go tworzy. Nie atrybutem naszej duszy jest nieśmiertelność: ona jest jej emanacyą.

Niema przeto wiary i dogmatu. Jest wszechpotężna wola twórcza.

Oto absolut.

. . . .

Trzeba tylko szukać—swego brata. Trzeba tylko szukać tego, co, odpadłszy od nas, uczyniło z nas fragment i niedoskonałość. Trzeba się uczyć przeglądać we wszystkiem—i wszystko odbijać w sobie. Trzeba skasować wszystkie plusy i minusy nasze z wszystkimi plusami i minusami dopełnienia, by otrzymać ten cudny, nieskazitelny rachunek, wyrażony w metafizycznem zerze.

Niechaj nas nie przeraża podobieństwo tej sumy do nicości: pamiętajmy, że zawierają się w niej dwie nieskończoności... A wtedy gardzić będziemy zarówno trwogą przed życiem, jak i trwogą przed śmiercią,— zarówno trwogą przed sobą, jak i trwogą przed Bogiem.

. . . .

Coraz bliżej mnie jesteś, bracie mój. Widzę cię, widzę ciągle—w kwiatach wiosny, w ciemnych sylwetkach drzew, na tle zieleni łąk i błękitu wód—w zorzach porannych i gwiazdach wieczornych—w śpiewie ptaków miłosnym i w jasnych oczach żebraka włóczęgi.

Dziwny, słodki prąd miłości idzie ku mnie ze świata zjawisk zewnętrznych. Księgi, których się tak lękałem, przemawiają teraz do mnie słowami nadziei i przyrzeczenia. Cudze myśli, które dawniej były mi tak często wężami laokoonowymi, dzisiaj owijają się koło mego serca, jak łagodne i wonne pnącze roślin zwrotnikowych. Miłość ogromna, miłość mądra, miłość płodna—obejmuje mię w ramiona matki, kochanki i przyjaciela—i życie moje staje się jedną wielką, ekstatyczną modlitwą.

Łzy boleści i tęsknoty mieszają się coraz częściej ze łzami zachwytu—i czuję, czuję zbliżającą się godzinę tryumfu i pojednania.

. . . .

Coraz częściej spoglądają na mnie te jasne, pogodne oczy żebraka. Przypominają mi one, że połowa życia leży odłogiem. Przypominają mi o dezercyi ze świata czynu. I tam cię szukać pójdę, piękny, dobry, mądry bracie mój...

(c. d. n.)

siadłości drobnych i większych z rąk polskich i oddawania ich Niemcom. Spółce tej hakatyści przypisują doniosłe znaczenie, gdyż pomiędzy właścielami udziałów figurują: b. minister Hobrecht, ambasador Raochdan, jeden z założycieli hakatyzmu Tiedeman, kilku landratów i t. d. Latoroślą tej spółki jest specyalnie dla miast utworzona z kapitałem 20000 marek „Deutsche Häusergenossenschaft in Berent", pracująca nad tem, aby domy miejskie uczynić wyłącznie własnością Niemców. Wszystkie te instytucye używają kredytu nieograniczonego, co pozwala im łatać dziury, tworzące się wskutek lichej gospodarki, opartej na względach czysto politycznych, nie zaś ekonomicznych.

Walka z zalewem niemieckim w kościerskiem byłaby możliwą, gdyby świadomość narodowa i polityczna ludności polskiej stała na wyższym stopniu rozwoju. I tu taka „Straż" mogłaby zrobić bardzo dużo. Kościerski polski „Bank parcelacyjny" robi doskonałe interesy i jest solą w oku hakatystów, ale naturalna działalność jego mogłaby sprostać sztucznym wysiłkom Niemców tylko wówczas, gdyby inteligencya miejscowa nie była ospałą i gnuśną. Dość powiedzieć, że w radzie miejskiej Kościerzyny niema ani jednego Polaka, choć samo miasteczko ma charakter przeważnie polski.

Wielki lament podnoszą hakatyści z powodu polszczenia się Rawicza. Tak, istotnie żywioł polski robi w ostatnich czasach wielkie postępy w tej zniemczonej oddawna miejscowości. Miasto Rawicz, założone w XVII stuleciu przez niejakiego Adama Olbrachta z Przyjmy Przyjemskiego herbu Rawicz, odrazu stało się placówką niemiecką na południowych kresach Poznańskiego, gdyż założyciel nietylko sprowadził kolonistów niemieckich, ale i ufundował dla nich kościół protestancki. Od tego czasu Rawicz posiadał charakter niemiecki. Dopiero niedawno, już w epoce najsroższych prześladowań polskości, począł się w Rawiczu dźwigać żywioł polski. „Rawitscher Zeitung" pisze z rozpaczą: „w niedługim czasie Wrocławskie Przedmieście i Żydowska Góra staną się polską kolonią, która będzie dla miasta Rawicza balastem powstrzymującym i przygniatającym". Rzeczywiście w ostatnich czasach Polacy kupili w Rawiczu bardzo dużo domów i gruntów. To samo dzieje się i w okolicy, gdzie w ręce polskie w ciągu dość krótkiego czasu przeszło 25 posiadłości niemieckich. Świeżo gospodarz Niemiec sprzedał za 20000 marek swe 85 morgowe gospodarstwo Polakowi. Gazety niemieckie z ubolewaniem zaznaczają ten fakt, mówiąc, że wszelkie wysiłki Komisy kolonizacyjnej nie przydadzę się na nic, wobec takiego wyzbywania się ziemi przez Niemców.

W Poznaniu zmarł jeden z wybitnych działaczy społecznych kraju — dr. Teodor Kalkstein, który wprowadził w zaborze pruskim sprawę parcelacyi na tory normalne. Kalkstein urodził się w r. 1850-ym w Prusach Zachodnich. Po ukończeniu gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu studywał w Lipsku i Monachium, gdzie doktoryzował się po napisaniu rozprawy o poglądach polityczno - społecznych Adama Mickiewicza. Przeniósłszy się do Galicyi przeszedł praktykę bankową w Galicyjskim banku dla handlu i przemysłu, poczem udał się do akademii rolniczej w Hali. Objąwszy na własność majątek dziedziczny, rozpoczął w r. 1883-im pierwsze próby parcelacyjne, rezultat zaś tych prób ogłosił w broszurze „Spółki rolne". Od r. 1883-go aż do końca życia był dyrektorem „Banku ziemskiego" w Poznaniu. On to zapewnił tej instytucyi pomyślny rozwój i wprowadził ją na tory walki z Komisyą kolonizacyjną, wydzierając jej nie jeden ponętny kąsek. Zmarł na gruźlicę. *Pośrednik.*

W ogniu życia.

Człowiek żywy, niezamarły, nieskamieniały, ma w swej duszy wielce niewygodną strunę. Nie może on bez utraty istoty swej duszy zamknąć się w sobie i rzec: jam tylko dla siebie. Rzec może, lecz tem rzeknięciem nie zagłuszy wrażliwości, która chciwie pije z powietrza odgłosy istnienia innych jednostek. I nie zdoła on spłoszyć tysiącznych uczuć, jakie z tego źródła powstają. Gdyby mógł! Z przestrachem cofaliśmy się w samotne zabytki ducha, drżeliśmy, biorąc do ręki kawał zadrukowanego papieru i w męce, którą nam on sprawił, wołaliśmy: o gdyby można było zapomnieć, gdyby można było nie wiedzieć, gdyby można było gdzieś uciec, schronić się, nie słyszeć tych jęków, jakie w ciszy samotnej zdają się nas dopadać, rwąc w kawały, kłując oczy. A ból, przemożny władca wszystkiego, co istnieje, szyderczo spogląda na strwożone, nędzne serca ludzkie i nie opuszcza ich, nie folguje im, szydząc i głębiej rozrywając je. O, ból jest wielką potęgą. Napróżno tłomaczymy sobie, że mus jest twardy i nielitosny, że wszystko, co było, musiało nastąpić, i że nie w naszej mocy było—zapobiedz. Chwile rozpaczy wyzyskano, aby wykazać brutalność pięści, i sądu żadnego nie będzie nad tymi, którzy życie ludzkie uważają za cel dla—ćwiczeń. Podobno często się przy tem—śmiano i żartowano.

Ból wielki raptownym płomieniem ogarnął wszystkich. I zdało się przez chwilę, że znowu porzuciliśmy swą codzienność, że wyanielił nas głos wieści hiobowych. Lecz była to tylko maleńka chwila. Cierpienie zdwajała bezlitość; poczucie niemocy wywołuje rumieniec na twarzy i gorzkie beznadziejne zburzenie nadziei i wiary. A jednak, jednak wielu rozsądnych pojawiło się wkrótce u nas. Ci nie podlegają wzruszeniom, nie czują jedności bólu, nie czują wspólności z tamtymi—zapatrzeni w miraże ustroju, który ich rzuca w objęcia nielicznej grupy „potentatów": oni „czują" jedno tylko: czują obawę aby dywidenda nie zmniejszyła się, aby zdążono wykonać wszystkie zamówienia, aby nie zabrakło głodnych, za najniższą płacę wykonywających najcięższą pracę. Ci ludzie nietylko nie żyją życiem uczuciowym, oni, gardząc uczuciem, nie potrafią myślą, rozmysłem objąć wypadków, nie mogą ich zrozumieć, nie mogą pojąć istoty życia społecznego i podawnemu identyfikują potrzeby pewnej grupy z potrzebami ogółu. Nie są oni zjawiskiem nowem, nieznanem. Naodwrót. Wyrośli z naszego gruntu, ich sposób myślenia aż nadto jest rodzimy i swojski. Dopóki było cicho, dopóty jakieś sentymentalne, czułostkowe powijaki okalały społeczeństwo i zamazywały istotę ukształtowania się jego wewnętrznego. Lecz kiedy powiał wiatr silniejszy, odsłonił prawdziwy stan rzeczy. I tylko narowem jest dzisiaj powtarzać dawne banialuki o jedności i wzajemnem kochaniu się. Idziemy utartym gościńcem, którym idą wszystkie narody...

Prawda faktów, prawda naukowego rozumienia zjawisk nie uspokaja jednak bólu. Dziś nasze życie uczuciowe jest chwiejne, wątłe i anemiczne. Po krótkiem wstrząśnieniu powracamy do dawnego bezruchu. I wyrabiamy sobie pogląd na obecne położenie. Jest on tak dziwaczny i bezmyślny, że niewiadomo co bardziej oburza: czy powtarzanie kuryerkowych frazesów, czy wyczerpanie zdolności uczuciowej wobec poważnych zagadnień życia. Rozprawiamy wiele, nie rozumiemy i nie odczuwamy nic. Nie rozumiemy istoty rozpaczy; a przecież jest to ważny czynnik psychologiczny. Rozpacz pchała do czynów niemożliwych, do łamania wszelkiego logicznego porządku i porywania się z gołemi rękoma na stokroć silniejszego przeciwnika.

Zapoznajemy istotę tego uczucia, zapoznajemy istnienie życia uczuciowego, i choć twarda rzeczywistość stale je uzewnętrznia, mędrkujemy i—oddalamy się od niej.

A jednak czyż przed nikim z tych, co żyją uświadomieniem intelektualnem, nie stanęło pytanie: czyja wina. Na pytania tego rodzaju odpowiadamy łatwo i z czystem sumieniem: nie nasza. Widzimy ją—w jakichś straganowych bredzeniach o jakiejś tajemniczej sile dyabelskich agitatorów lub w musie dziejowym, który pozbawił nas możności regulowania stosunków wzajemnych. Pierwsza „przyczyna" to znany „kawał" wysługujących się u stołu „panów tego świata" pismaków, druga bezwątpienia jest prawdziwą; lecz nie tłomaczy wszystkiego. Ci wszyscy, którzy nie zatracili głębi ducha, którzy nie zatracili wrażliwości na uderzenia serc innych, muszą z żalem i goryczą powiedzieć: nostra culpa. Nasza wina, żeśmy zaniedbali obowiązku naszego, żeśmy ulegli gnuśności i nie stanęli na poziomie chwili, żeśmy zbyt późno opatrzyli się i przystąpili do pracy, że nas zamało do pracy stanęło. Nasza wina, że rozpacz objęła władanie sercami, bośmy przez długie lata patrzyli na nędzę i głód—bezczynnie. Ratujmy się sofistyką: mus dziejowy, rozwój ekonomiczny, siła wyższa, opatrzność wreszcie są to środki uspakające, z których każdy wybiera, co mu najbardziej smakuje.

A jednak nasza wielka wina, że dziś ci, którzy nie lękają się stawienia czoła — chwili są zbyt nieliczni, że wybuchowość żywiołowa zastępuje miejsce planowego działania; że to ostatnie napotyka tak wielpie przeszkody, że siły zorganizowane muszą tracić energię na walkę z raptownymi wybuchami, na walkę z obojętnością—lub złą wolą.

Ci, którzy tylko wznieść się mogą do rozpaczy i współczucia, ci w prędkim czasie muszą zamilknąć i znikną z powierzchni życia. Bo jakiem już wspomniał, życie uczuciowe bez dążenia do uzewnętrznienia się, do czynu jest nikłe i martwe. Zamilkniemy i nawet echa po nas nie zostanie. Bośmy nie znali życia, bośmy nie znali samych siebie, bośmy znali tylko gorączkę i lęk.

Zwątpienie jest wielkiem nieszczęściem dla ducha, lecz silny, żywotny zdławi je i przejdzie śmiałą nogą po za próg, za którym leży królestwo pogodnej wiary w siebie i wiary w wszechistnienie. Nie wolno wątpić i zużywać siły na płacze i rozpacze. Ból święty, potężny powinien napełnić duszę nową treścią, dać jej poznanie nowej potęgi. Im droga jest cięższą, tem mocniejszych duchów wymaga. Nie wolno rąk załamywać i wołać: wszystko idzie na marne. W życiu nic na marne nie idzie, i każda łza ma swoje znaczenie i swoją wagę. Im więcej odzywa się głosów, które przejmują nas oburzeniem, im częściej słyszymy o dobrowolnem zaofiarowywaniu swoich usług i schlebianiu, tem większą powinniśmy poczuć podnietę, tem jaśniej możemy zrozumieć: gdzie nasze miejsce. Bo ból zapala jaskrawą pochodnię, która rzuca krwawe światło i wskazuje drogę. Ból i cierpienie niepokoją ducha i pchają go ku czemuś, co ma je przekształcić na siłę twórczą. Kto tylko wątpi, ten nie jest zdolny poczuć wielkiego bólu, i tylko ulega—podrażnieniu nerwów.

Dziś wszyscy męczymy się prędko. W istocie, trzeba wielkiego hartu, aby przetrzymać ciągłe naprężenie, ciągłe oczekiwanie. Życie się wlokło, a tu naraz poczęło biedz prędko. Było podobne do ledwo ciekącej wody spokojnego strumienia, a tu raptownie woda wezbrała, poczęła się burzyć i pędzić z łoskotem i hukiem. Trzeba

wielkiego hartu aby przetrzymać tę raptowną przemianę i uchronić się od zawrotu głowy. My tego hartu nie mamy. Jak całe pokolenie dzisiejsze, jesteśmy słabi w życiu zewnętrznem, zaabsorbowani życiem wewnętrznem lub tak zwaną wulgarnie walką o byt. A jednak musimy posiąść ten hart, musimy. — Kto sobie ten mus uświadomi, kto odczuje, jak wielką zbrodnią jest dać się wlec niemocy, ten stanie się silny i hartowny. Musimy pokonać wątpienie, rozpacz i z zaciśniętemi zębami wpatrzeć się w jedną stronę.

Tęsknimy do słońca. Sercom naszym niezbędne są jego jasne pogodne promienie, siejące ruch i życie. A tu—mrok często słabnie. Lecz płomienie niespokojne migocą i drżą; nie niosą one radości, nie niosą wytchnienia, świecą czerwono, jak łuna pożarna, sieją popłoch i trwogę. A jednak jest to światło, zwiastujące nową erę.

Różne jest czekanie. Raz stajemy z założonemi rękoma i patrzymy bezczynnie przed siebie. Ktoś coś powiedział, ktoś czegoś dowiódł, a więc może się coś stanie, może coś nastąpi. Więc słuchamy i czekamy, tworzymy projekty, robimy porównania, przeprowadzamy analogię; jednem słowem skracamy sobie czas — jest to czekanie bierne, czekanie ludzi słabych i pełzających. Innem jest czekanie czynne. Polega ono na budzeniu ludzi do życia, na łączeniu i organizowaniu sił, na gotowości, na czujnem wsłuchaniu się. Czekanie czynne to planowe dążenie do nowego celu, szukanie sojuszników i pomaganie sobie nawzajem przez tych, którzy mają wspólne dążenia. Czekanie czynne poleca oszczędzać środków poważnych na odpowiednio poważne chwile, poleca nie zaniedbywać niczego, co może siły wzmocnić i czekanie skrócić. Czekanie czynne, jedynie godne ludzi żywych, jest nam mało znane i przechodzi siły nasze.

Dlatego, że umiemy czekać tylko biernie, ogarnia nas zniechęcenie i zwątpienie. Znużeni, sądzimy, że już zaraz nastąpi jakaś przemiana gwałtowna, że bez przyczyny ziści się wszystko, o czem gawędzimy. A ponieważ to przypuszczenie się nie sprawdza, więc zaczynamy ziewać i powracać do zwykłego trybu życia. Trzeba być bardzo ślepym, aby nie widzieć, że wszystko, co się dotąd działo, to tylko początek, że długo jeszcze będziemy świadkami chwiania się i niepewności.

Dlatego też należy nie wątpić a wierzyć. Nie wolno czekać biernie. Dusza ludzka dąży wszelkiemi siłami do uzewnętrznienia swego uczuciowego napięcia, dąży do twórczości. Kto chce żyć, ten musi podołać trudnym warunkom życia, musi pełnić służbę czynu i być, jako bogowie, młody i silny.

br.

Międzynarodowa Konferencya dla ochrony prawnej robotników w Bernie.

Zwołana przad 15 laty przy odgłosie fanfar, zwiastujących światu nastanie nowej ery socyal - politycznej pierwsza, międzynarodowa konferencya dla ochrony prawnej robotników prócz głębokiego rozczarowania nie dała nic innego. Ludzie świetni imieniem, urzędem a nawet powagą zasług naukowych wypowiedzieli w długich referatach i zręcznych przemówieniach zapatrywania swoje na kwestye tak liczne, jak licznymi są te ciężary, męki i bóle, które praca najemna za sobą pociąga, nie dlatego że leży to w samej istocie kapitalizmu—w tak dostojnym gronie obcym jest ten punkt widzenia,—ale dlatego, że z obawy podrożenia kosztów produkcyi kapitał cofa się nawet przed własnym cieniem. Produkcya na odległe rynki, na których kapitał międzynarodowy staje uzbrojony w jedną tylko broń—taniość reprezentującego go towaru, czyni taniość produkcyi fetyszem kapitału, któremu bez upamiętania gotów składać ofiary z krwi i ciała—przy trzeźwem patrzeniu ani konieczne, ani nawet jemu samemu potrzebne. Widok zajadłej walki konstytucyjnej, której koszta tak często ponosi trzeci, mimowoli w umysłach widzów budzi myśl, że równomierne zrzeczenie się niektórych placówek i korzyści, nie zmieniłoby w niczem stanowiska poszczególnych uczestników tej walki, a wiele złego usunęło.

Zebrani z inicyatywy cesarza w Berlinie, goście długo też nad tem radzili i omówili wszystkie zła, bijące w oczy, wymagające spiesznej poprawy. Porozumiawszy się łatwo co do kwestyi, że równe rozłożenie ciężarów nie utrudnia wcale konkurencyjnej walki jednostkom lub krajom, że wyższa kultura fizyczna i umysłowa, która idzie w parze z ochroną robotnika, podnosi wydajność pracy, a z nią i zyski, rozjechali się do domów.

Socyal-polityka wszech krajów, która w przededniu konferencyi dumnie podniosła głowę, znalazła się teraz w przykrem położeniu. Koła przedsiębiorców, którym jest pod każdym względem o wiele bliższą, niż robotniczym, wymiawiają się koniecznością rynkową od reform na korzyść pracy, mówiąc, iż tylko międzynarodowe ustawodawstwo może uchronić kapitał od zgubnych następstw—międzynarodowa konferencya wyników nie dała—jak więc znaleźć prowadzącą do celu drogę?

Wreszcie po pietnastu latach braku wiary i zniechęcenia do międzynarodowych akcyj tego rodzaju, odpowiedź na to pytanie znaleziono—ale tylko dzięki temu, że „Międzynarodowe stowarzyszenie dla ochrony prawnej robotnika”, założone w Paryżu 1900 zrozumiało należycie zadania i cele ustawodawstwa międzynarodewego i umiało w ciągu lat paru wytrwałego i systematycznego wpływania na opinię publiczną i rządy utorować drogę owocnej akcyi.

Warunki pracy robotnika są tak ściśle związane z politycznym i ekonomicznym stanem danego kraju, że regulowanie w całej ich pełni, a nawet w istotnej treści przez międzynarodowe ustawodawstwo pozostać musi tak długo mrzonką, dopóki pojedyńcze kraje wykazywać będą tak znaczne różnice w stopniu rozwoju jak teraz—mimo wspólnych rynków i międzynarodowej wymiany.

W krajach, posiadających liczne zakłady fabryczne, których inwestycye zdawna już się wróciły, czas pracy może być o wiele krótszym, niż w innych, stojących dopiero u zarania kapitalizmu *przy tych samych zyskach kapitalisty.* Udoskonalona technika podwyższa wydajność pracy, skraca przeto czas potrzebny na reprodukcyę środków utrzymania robotnika i pozwala mu w krótszym stosunkowo czasie wyprodukować tę samą wartość dodatkową, która stanowi zysk kapitalisty. Jednostka towaru zawiera tu przytem mniej pracy, mniej wartości i w równej jej cenie mieści się większy zysk dla przedsiębiorcy z kraju o wyższej technice produkcyi. Jeśli zaś jeszcze uwzględnimy niższą stopą procentową i niższą ratę amortyzacyjną, bo układy są dawniejsze, to zrozumiemy łatwo, czemu przy krótszym dniu roboczym sprostać mogą na międzynarodowych rynkach współzawodnictwu krajów o długim dniu roboczym a słabym rozwoju kapitalistycznym. Przeciwnie zaś kraje mało przemysłowe nagłem wprowadzeniem krótszego dnia roboczego pozbawiłyby się dostępu do rynków—albo przynajmniej pozbawiłyby swój kapitał w warunkach nader niekorzystnych.

Na konkurencyi rynkowej, lokalnej i międzynarodowej spoczywa wprawdzie dziejowa misya przygotowania możności krótszego dnia roboczego, ale urzeczywistnienie jej musi być dziełem klasy robotniczej poszczególnych krajów. Część kapitału przechodzi ciągle, parta współzawodnictwem do wyższej techniki, by ze zwiększonej wydajności pracy ciągnąć zwiększone zyski, dopóki nowy sposób produkcyi nie stanie się własnością ogółu. Wtedy zaś możebne są jeszcze dwie ewentualności. albo klasa robotnicza równomiernie, krok za krokiem zdobywa sobie tyle praw politycznych, że razem z teoretyczną możebnością krótszej pracy osiąga rzeczywiste skrócenie dnia roboczego, albo też ustrój polityczny danego kraju zapewnia kapitalistom przez pewien czas podwójne korzyści, płynące ze zwiększonej wydajności pracy i dłuższego dnia roboczego w krajach ościennych. Jeśli zaś robotnicy nie zdobędą sobie w tej fazie, która jest do tego najodpowiedniejsza, skrócenia dnia roboczego, napewno kapitaliści dobrowolnie głów nie uchylą przed uchwałami międzynarodowemi.

O istotnych warunkach pracy, t. j. mogących podnieść lub obniżyć stopę wyzysku robotnika rozstrzyga układ sił społecznych. Muszą one być dla każdego kraju zatem z osobna regulowane—prawnie czy faktycznie—bo tu żadna ze stron nawet piędzi praw swoich się nie wyrzeknie. Zadań tych, które spoczywają na klasie robotniczej samej i na ustawodawstwie krajów poszczególnych, międzynarodowe ustawodawstwo ochronne *spełnić* nie może, ale może je skutecznie *uzupełnić.*

Konferencya, na którą z inicyatywy „Międzynarodowego Związku dla ochrony prawnej robotnika”. Szwajcarya zaprosiła do Berna (w maju r. b.) rządy wszystkich państw kulturalnych miała w swym programie już nie ogólną „ochronę robotnika”, ale wyłącznie dwie kwestye, jednakowo w gruncie rzeczy dla kapitału obojętne, zgodnie więc za zakałę cywilizacyi uważane i wyłącznie z obawy przed konkurencyą rynkową dotychczas ostatecznie niezałatwione. Porządek dzienny obejmował wyłącznie *kwestyę nocnej pracy kobiet i używania żółtego fosforu przy fabrykacyi zapałek.*

Teoretyczne dyskusye były więc zbyteczne, a uczestnicy konferencyi, nie proszeni goście jak w Berlinie, ale pełnomocnicy swoich rządów, starali się już tylko o znalezienie formuły, mogącej uzyskać zgodę ogólną, a przytem przynieść poprawę stosunków ze sobą. Dla kobiet uchwalono na koniec 11-godzinny wypoczynek nocny, który musi w sobie obejmować czas od 10 wieczór do piątej rano, obowiązujący w przedsiebiorstwach fabrycznych i kopalniach. W krajach nieznających dotychczas prawnego ograniczenia nocnej pracy kobiet, pierwsze trzy lata wypoczynek nocny wynosić może tylko 10 godzin. Uchwała ta posiada ogromną doniosłość praktyczną i dla krajów, które, jak n. p. Austrya, posiadają od dawna prawny zakaz nocnej pracy kobiet, znosi bowiem stanowczo te ciągłe wyjątki wprowadzane w życie ministeryalnymi rozporządzeniami, jakie w niektórych gałęziach przemysłu groziły zupełnem zniweczeniem skutków ustawy ochronnej. Na mocy uchwały berneńskiej praca nocna kobiet dozwalaną będzie tylko w wypadkach niedających przewidzieć się z góry i niepowtarzających się peryodycznie, jeśli przytem zachodzi obawa, że przerwa nocna może spowodować zepsucie materyału.

Niemniej ważnym zasadniczo—choć praktyczne jego znaczenie nie jest jeszcze zapewnione—jest uchwalony na konferencyi berneńskiej zakaz używania żółtego fosforu przy fabrykacyi zapałek, wywołuja-

cego u zmuszonych do wdychania go robotników, tę okropną chorobę zawodową, zwaną nekrozę fosforową.

W niektórych krajach używanie żółtego fosforu już dawniej zostało zakazane, ostatnim razem w Niemczech, w r. 1903, uchwałą, która 4 lata później w życie wejść miała. Ale mimo ogólnie uznanej szkodliwości fosfor ciągle jeszcze znajduje zastosowanie, w Austryi np. aż w $^2/_3$ ogólnej produkcyi zapałek. W tymto wypadku zerwanie ze złem utrudnione jest wyłącznie względami na konkurencyę międzynarodową. Austryackie fabryki zapałek i niektóre inne europejskie produkują przeważnie dla rynków wschodnich i azyatyckich, gdzie przeważa popyt na zapałki tanie, do których używa się fosforu. Choć więc konferencya uchwaliła zakaz wytwarzania, sprowadzania i sprzedawania zapałek, zawierających żółty fosfor, który miałby wejść w życie z dniem 1 stycznia 1911 r., prawomocność tej uchwały uzależniono nietylko od ratyfikowania jej przez wszystkie państwa, które obesłały konferencyę, ale również od przystąpienia do niej Japonii, która na rynkach azyatyckich jest groźnym dla Austyi współzawodnikiem.

Szczupły zakres zadań, którym już na pierwszy rzut oka, konferencya berneńska różniła się od braworuwo-dyletanckiej konferencyi w r. 1890, pozwolił jej pracować z poważnym skutkiem, wypowiadać nie bezpłodne życzenia, ale kreślić podstawy uchwał prawomocnych. Tą powagą i owocnością pracy stanowi ona rzeczywiście nader ważny wypadek w dziejach ochrony prawnej robotnika, a równocześnie daje ważną naukę społeczną. Poznanie jak szczupłym może być zakres międzynarodowego ustawodawstwa ochronnego musi być nowym bodźcem do starań o polepszenie warunków pracy w obrębie granic państwowych.

Dr. H. L.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Nowa „własność ogółu".

Czego czcigodna spekulacya w nas nie wmówi! Wiadomo, że najcharakterystyczniejszym jej rysem jest bezinteresowne uszczęśliwianie ludzi; więc też wszystko, co ona robi, chociażby to było sprzedawanie sacharyny zamiast cukru lub wytrącanie najmitom z zapłaty za ocieranie potu z czoła — jest dobrodziejstwem dla ogółu. Na piedestale tych poświęceń stanęła *Gazeta polska* z miną tak uroczystą, z jaką nigdy nie wyobrażano ani Leonidasa, ani Karoliny Corday. I czegóż dokonała? Z przedsiebiorstwa jednostkowego zmieniła się na towarzystwo akcyjne. Nic więcej. Robi to przecięciowo codzień jakiś kupiec lub przemysłowiec i nikomu nie przychodzi na myśl wysławiać publicznie swego czynu. Tymczasem *Gazeta polska* opowiedziała po kilkakroć wielkim drukiem na froncie, jak jej redakcya starała się o koncesyę, jak „nareszcie (ach!) po 18 miesiącach usiłowania jej uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem" obwieszczając przytem narodowi radosną nowinę, że odtąd *Gazeta* „stanie się własnością ogółu (!)", że nie będzie „inną niż była, ale będzie miała mocniejsze podstawy bytu, zyska na sile odpornej (!), na energii oddziaływania". Rozebrawszy ten uroczysty akt z jego majestatu, otrzymamy następującą prawdę: wydawcy *Gazety polskiej* potrzebne były pieniądze, więc postanowił ją sprzedać towarzystwu akcyjnemu, jak Majewski fabrykę ołówków lub Gostyński— wyrobów metalowych, co mógł uczynić tem łacniej, że jego przedsiębiorstwo dziennikarskie było rodzajem fabryki parasolów zwanych *en tout cas* i dało się zastosować do wszelkich przekonań. Dotąd wszystko jest w porządku—ekonomicznym, uprawnionym zwyczajowo oddawna, kiedy prasa codzienna na całym świecie stała się w znacznej części formą przemysłu i handlu. Nieporządek zaczyna się dopiero od tego punktu w którym wydawca *Gazety* mianuje ją „własnością ogółu" a napomyka o jej niezmienności. Rzeczywiście bowiem będzie ona własnością koła akcyonaryuszów, których osobisty skład zdecyduje każdorazowo o jej charakterze i którzy z niej mogą uczynią wszystko: organ żydowski, antisemicki, ugodowy, hakatystyczny, nawet policyjny—jeśli im się to podoba. Tak, może ona przewędrować przez wszystkie stronnictwa, na co się godzimy, ale niech nam nie mąci głowy swoją „siłą odporną" i „nowym okresem rozkwitu" a nadewszystko „własnością ogółu". *h.*

Cenzura ochotnicza.

P. Grabowski opowiada w *Kuryerze codziennym* ciekawą epopeję swego odczytu „o społecznych warunkach rolnictwa", który miał być naprzód wygłoszony w sekcyi rolnej Towarzystwa pop. p. i h. a następnie w Towarzystwie rolniczem, płockiem. Ile razy prelegent się zgłaszał, ile razy go spychano z porządku dziennego, ile razy mu zamknął drzwi p. St. Chełchowski, dyktator tych stowarzyszeń, żądający koniecznie poddania się jego uprzedniej cenzurze—nie będziemy tu powtarzali. Cała ta sprawa wydaje nam się naturalną i zrozumiałą. Wszystkie instytucye szlachecko-ziemiańskie u nas mają charakter barani, to znaczy, że wszyscy ich członkowie pokornie ulegają despotyzmowi jednego, który należy do najenergiczniejszych (nie zawsze do najrozumniejszych) i który—mówiąc poprostu—trzyma ich za czuby. Nieraz trzeba się zdumiewać, jak te skądinąd buńczuczne i harde natury dają się pokornie wyprowadzać na arenę „z wolnej ręki" i słuchają tresurowej komendy. P. Grabowski powinien był o tem wiedzieć i—powiemy szczerze—nie włazić między wrony, kiedy nie miał zamiaru „krakać, jak i ony". A krakać nauczyłby go p. Chełchowski i dla tego chciał ocenzorować jego odczyt. Wogóle trzeba być bardzo ostrożnym z wiarą w zapewnienia pewnych żywiołów społecznych, że one pragnęłyby „swobody myśli i słowa". Błaga! Co tu mówić o innych przedmiotach, jeżeli rozprawa „o społecznych warunkach rolnictwa" musi przeciec przez siło kontroli p. prezesa Sekcyi? *n.*

Tak mówi—robotnik polski.

Tym efektownym zwrotem poleca szanownej publiczności *Kuryer Warszawski* odezwę „robotników, stojących na gruncie programu demokratyczno narodowego". Tęż samę odezwę przedrukowały i inne bogobojne i cnotliwe pisma. Jest to... każdy zresztą przypuszczam wie, co to jest. Pragnę tylko zwrócić uwagę na jeden charakterystyczny ustęp tej „filipiki". Między innemi „pięknemi" twierdzeniami czytamy tam: „Kto nam rozkazuje? Kto się nam narzuca jako władza? Chłystki krzykliwe". Tak brzmi tekst w reprodukcyi, uczynionej przez *Kuryer Warsz.* W innym organie czytamy: „Chłystki krzykliwe i żydziaki". *Kuryer* powinien wyjaśnić czy przeoczenie to jest umyślne, czy też przypadkowe, bo złośliwi gotowi posądzić, że łaskawi opiekunowie i obraniacze zastosowali tu zwykłą swą metodę: tam, gdzie spotykają się z żydami zwykli oni opuszczać antisemickie kawały; przecież żydzi chętnie niosą pomoc pieniężną, z drugiej znowu strony „obywatelstwo" lubi kalumnie, rzucane na żydów. Więc najlepiej wszystkim dogodzić — wykreślenie pewnego wyrazu nie jest zbyt trudnem, a zarobić można na tem sporo. *r.*

Miłe stosunki.

Któryś z naszych dzienników opisując fakt biernego przyglądania się przechodniów temu, jak dwu ludzi chciało zrabować przejeżdżającego chłopaka, dziwi się zachowaniu ludności. Sądziłbym, że jest to rzecz zupełnie naturalna. Nic dziwnego, że skoro kto ujrzy jakiś zamęt na ulicy, bierze nogi za pas i—umyka. Czasem przemoże ciekawość i zamiłowanie do gapienia się. Za to jednak wielu ciężko zapłaciło. Nic więc dziwnego, że u nas weszło w zwyczaj biernie przyglądać się przeróżnym gwałtom. Do wszystkiego przecież człowiek się przyzwyczai. Nazywa się to żywaniem z okolicznościami zewnętrznemi. *a.*

Nie porozumieli się!

Gorliwie pracujący na uznanie sfer odpowiednich reporterzy przeholowali w usłużności i wyrządzili swym protektorom niedźwiedzią przysługę. Skoro do Warszawy nadeszły pierwsze wiadomości o strajkach łódzkich, „niezależne" organy prasy codziennej poczęły na wyścigi biadać nad krzywdą, jaka się dzieje przemysłowi krajowemu, prześcigano się w stawianiu smutnych horoskopów, jeden przewidywał upadek Łodzi na przeciąg lat pięciu, inny — dziesięciu, najgorliwsi pogrzebali ją na zawsze. Naturalnie fabrykanci tamtejsi nie mogli być zadowoleni z tych jeremiad. I oto naraz — czarne jasnowidztwo poczęło różowieć. Jęto się wykazywać siłę przemysłu łódzkiego, jego świetną przyszłość; ktoś się zagalopował nawet tak daleko, że twierdził, iż strajki wyszły na korzyść fabrykantom, nie przeczuwając zapewne, że twierdzenie to jest — po części słuszne. Przemysł łódzki zmartwychwstał na łamach naszych kurjerków i dawny pesymizm został zapomniany. Chwilową rozpacz można objaśnić tylko tem, że ludziska się nieporozumieli. Nic więcej. *zb.*

Rozporządzenie.

Podobno zarząd kolei nadwiślańskich ponowił rozporządzenie, aby oficyaliści kolejowi nie mieli w pociągu przywilejów przed innymi pasażerami. Dotąd u nas na wszystkich kolejach panowało sielankowe prawo zwyczajowe, mocą którego przeróżni dygnitarze, począwszy od kontrolerów, zajmowali na swoje potrzeby oddzielne przedziały pomimo braku miejsca dla zwykłych śmiertelników. Buńczuczność tych jegomościów oddawna zasługiwała na skarcenie, byle tylko rozporządzenie, o którem mowa, nie pozostało... na papierze.

Oby tak było.

Kuryer Codzienny w numerze wtorkowym zamieścił szczery i odczuty artykuł pod tytułem „Jeszcze jeden skutek". Mówi

tam o znaczeniu „psychicznem” niedawnych pogromów domów publicznych dla społeczeństwa. Wywody autora są słuszne i trafne. Tylko zakończenie wydaje mi się zbyt optymistycznem. Czytamy: „ogół kobiecy zaczął od tej chwili na sprawę prostytutek spoglądać tak, jak na nią do tego czasu patrzyły tylko wyjątkowe misyonarki... pogrom rozbił na zawsze zastarzałe pojęcia kobiet o prostytutkach”. Oby tak było. Skoro jednak rozejrzymy się wkoło, skoro uprzytomnimy sobie życie uczuciowe i umysłowe zarówno naszych kobiet jak i mężczyzn, to szlachetny entuzyazm tych słów staje w pewnej sprzeczności z narowami, któremi żyje nasz ogół; i dzisiaj większość kobiet ze sfery tak zwanej inteligencyi z pogardą patrzy na—„te dziewczyny”, a ich mężowie i bracia bawią się podawnemu. Wiele jeszcze upłynie wody, zanim anemiczne dusze poczną życie inaczej pojmować. Dziś można tylko westchnąć: oby tak było. *S.*

Rwetes.

W tych dniach mają odbyć się w Wilnie pierwsze, po długiej przerwie, przedstawienia teatralne w języku polskim. Bez wątpienia jest to zdarzenie sporej wagi dla życia kulturalnego. Teatr jest instytucyą poważną i konieczną. Tem większy jednak niesmak budzi rwetes, jaki czyni z tego powodu prasa warszawska. Przy czytaniu ciągłych hymnów na rzecz aktorów, biorących udział w przedstawieniu, ogarnia niemiłe zdziwienie—reporterzy mówią o nich jak o jakichś rycerzach, jadących ne wyprawę krzyżową. Hałas ten wobec dzisiejszego położenia robi wrażenie jakiegoś ogłupiania się drobnym faktem. Wilno i jego mieszkańcy mają sporo ważniejszych potrzeb kulturalnych, o których zaspokojeniu dotąd mowy niema. Jaki może mieć cel rozdmuchiwanie danej sprawy do rozmiarów ziszczenia wszelkich oczekiwań. Jest to drobny względnie fakt i dlatego, szczerze ciesząc się tem, że Wilnianie doczekali się tak poważnej dla kultury instytucyi, jaką jest teatr, uważamy za śmieszne i dziwne hymny kuryerków, przykrywające inne, bardziej ogólne potrzeby.

Nic nowego pod słońcem.

Ciekawą wiadomość podaje korespondent radomski *Kur. Codz.* Na zebraniu nowozałożonego Towarzystwa rolniczego jeden z członków odczytał referat „o ubezpieczeniu robotników rolnych”. Prelegent „zwalczał obowiązkowość ubezpieczenia, która powinno zastąpić miłosierdzie i serce dla doli współbraci”. Głos ten zdaje się być wyrazem większości „naszego ziemiaństwa”. Ludzie ci nie chcą uznać, że obowiązkiem ich ubezpieczać swoich pracowników, i wciąż dowodzą, że łaskę robią „chamowi”. Filantropia zbyt ściśle jest związana z naszemi narowami, żebyśmy mogli się prędko od niej uwolnić. A przytem „czynienie dobrze” jest tak doskonałym pretekstem do zwalczania wszelkich „buntowniczych” zachcianek. Skoro zaprowadzą obowiązkowe ubezpieczenie, to „chłopstwu” zachce się wkrótce lepszego pożywienia a więc lepszej płacy. Lepiej i wygodniej litować się nad nimi i mieć miłosierdzie... dla swojej kieszeni. *l.*

BADANIA NAUKOWE

Związek monistyczny.

12. *Samorództwo* (*Archigonia*). Ponieważ życie organiczne odbywa się tylko dzięki żywej substancyi (zarodzi), a czynność tej białkowatej stałopłynnej materyi jest możliwą jedynie przy pomocy kroplistej, płynnej wody, organizmy żyjące mogły więc powstać na naszej rozżarzonej, ciekłej kuli ziemskiej wówczas dopiero, gdy kora tej ostatniej stężała a temperatura powierzchni opadła niżej punktu wrzenia. Wówczas dzięki katalizie powstały z początku z koloidalnych związków węgla i azotu proste monery, pozbawione wszelkiej budowy grudki zarodzi, tak jak to spotykamy i u dziś jeszcze żyjących sinic (Cyanoc phyceae). Z tych zaś wskutek podziału wewnętrznego jądra komórkowego (Nucleus) i zewnętrznego ciała komórki (cytosoma) powstały pierwsze komórki.

13. *Przekształcenie życia* (*metabolia zarodzi*). Wspaniały proces transformacyi biologicznej, dzięki któremu w przeciągu wielu milionów lat powstały na ziemi naszej liczne rodzaje roślin i zwierząt, może być mimo swą nieskończoną rozmaitość doprowadzony do prostego fizyko-chemicznego procesu: do bezgranicznego przekształcania się żyjącej substancyi (metabolia zarodzi). Najważniejszymi czynnikami tego przekształcenia są fizyologiczne funkcye przystosowania i dziedziczności; pierwsze są połączone z przemianą materyi (odżywianie i rozrost), ostatnie — z rozpłodem (rozrost transgressywny).

14. *Historya rodowa* (*Filogenia*). Z krytycznego połączenia trzech wielkich, wzajemnie się uzupełniających nauk (paleontologii, anatomii porównawczej i ontogenii) powstaje nowa nauka o historyi pokolenia (filogenia, 1866). Stara się ona poznać hypotetycznie stosunki pochodzenia większych i mniejszych grup form organicznych i na ich porządku opiera naturalny system pokolenia, rządów i rodzajów. Hypotetyczne pnie pokoleń (phylema), które je wyrażają w najprostszy sposób, mają doniosłe odkrywcze (?) i praktyczne znaczenie. Wszystkie formy, zarówno w państwie roślinnem, jak i zwierzęcem, mogą być sprowadzone do kilku pni, których korzenie stykają się u spodu wśród prostych, pierwotnych moner.

15. *Antropogenia*. „Stanowisko człowieka w przyrodzie” (tak zwane „zagadnienie wszechzagadnień” Huxley'a) jest teraz najzupełniej poznane: anatomia porównawcza poucza, że nasze ciało ludzkie wykazuje wszystkie cechy kręgowców (vertebrata); ontogenia porównawcza przekonywa nas, iż powstaje ono i rozwija się również jak i one; fizyologia porównawcza dowodzi, iż wszystkie czynności życiowe (a więc i duszy) podlegają tym samym prawom fizyki i chemii; wkońcu paleontologia z szeregów skamieniałych kręgowców uczy nas poznawać wymarłych przodków naszego rodu. Niema więc żadnej wątpliwości, że człowiek pod każdym względem jest kręgowcem, ssakiem mianowicie, i że rozwinął się z tej najwyżej stojącej gromady dopiero w czasie młodszego trzeciorzędu.

16. *Pochodzenie od małp* (*teorya pitekoidalna*). Ze wszystkich kręgowców najbliżej człowieka stoją pod wszelkim anatomicznym, embryologicznym i fizyologicznym względem małpy (simiae), a szczególniej bezogonowe antropoidy. Żaden jednak z żyjących przedstawicieli tej grupy (ani azyatycki gibbon lub orangutang, ani afrykański szympans lub goryl) nie może być uważany za bezpośredniego przodka człowieka. Trzeba raczej poszukiwać wspólnych przodków wszystkich tych antropoidów i człowieka wśród wymarłych starych małp starego świata (Pithecanthropus) lub im pokrewnych.

17. *Nieśmiertelność duszy* (*Athanizm*). Dusza (psyche) ludzka została pojęta jako zespół czynności mózgu. Działalność wyższego organu duchowego czyli narzadu myślenia (phronema) — pewnej określonej części kory mózgowej—odbywa się u człowieka podług tych samych praw „psychofizyki”, jak i u pozostałych kręgowców, a specyalnie u najbliżej spokrewnionych antropoidów.

18. *Wolność woli* (*indeterminizm*). Narówni ze wszystkiemi pozostałemi czynnościami mózgu (czuciem, wyobrażaniem, myśleniem) „chcenie człowieka jest czynnością fizyologiczną ośrodkowego narządu nerwowego, uwarunkowaną anatomiczną jego budową. Szczególne własności osobnikowego mózgu ludzkiego, w części otrzymane od przodków drogą dziedziczności (zdolności), w części nabyte w życiu indywidualnem dzięki przystosowaniu, z konieczności warunkują też i wolę jego.

19. *Prawo substancyi*. Dawniejsze podstawowe prawo chemiczne zachowaniu materyi (Lavoisier, 1789) i nowsze zasadnicze prawo fizyczne zachowania siły, (zachowania energii, Robert Mayer, 1842) zostały w nowszych czasach dzięki monizmowi naszemu zlane w jedno jedyne prawo powszechne; ponieważ rozpatrujemy materyę i siłę (—lub „materyę i energię”—ciało i duch) jako nierozłączone atrybuty substancyi (Spinoza). Oznaczamy owo wszechobejmujące „prawo powszechne” lub „kosmologiczne prawo zasadnicze” wprost jako prawo substancyi i jesteśmy przekonani, że człowiek podlega mu bezwarunkowo na równi z całym pozostałym „kosmosem”.

Monizm praktyczny.

(Rozumne prowadzenie życia na zasadzie monizmu teoretycznego).

20. *Socyologia*, (*nauka o społeczeństwie*), Kultura, która tak wyniosła ród ludzki ponad inne zwierzęta i dała mu władzę nad ziemią opiera się na rozumnem współdziałaniu żyjących towarzysko ludzi, z rozległym podziałem pracy i wzajemnem dopełnianiem oraz poparciem klas robocych. Podstawy biologiczne tworzenia społeczeń tw, dają się już zauważyć u zwierząt towarzyskich (przedewszystkiem u — primates); ich stada i państwa są połączone dzięki instynktom socyalnym (przyzwyczajeniom dziedzicznym).

21. *Formy państwowe i prawa*. Zgodne z rozumem uporządkowanie państwa i rządzenie na mocy praw może się odbywać pod postacią rozmaitych form państwowych; głównem ich zadaniem jest sprawiedliwa nomokratya, utrwalenie opartej na sprawiedliwości władzy świeckiej.

22. *Kościół i wyznanie*. Kult wyznania (jako pewnej określonej formy, która wywołuje jedynie niezgodę pomiędzy inowiercami) powinien stanowczo być zwalczony. Pożądany rozdział państwa od kościoła może być dokonany w ten sposób, że państwo nada równe prawa wszystkim wyznaniom, lecz zastrzega sobie powstrzymywanie ich nadużyć w praktyce. Władza duchowna (teokracya), zawsze musi podlegać rządom świeckim (nomokratyi).

23. *Papizm*. Najpotężniejszą hierarchią, która i dziś jeszcze panuje duchowo nad większą częścią świata kulturalnego, jest papizm lub ultramontanizm. Znajduje on

też poparcie nawet u swych naturalnych przeciwników, książąt świeckich. W nieuchronnej walce przeciw papizmowi trzeba przedewszystkiem tak działać, aby prawnie zostały zniesione trzy najpotężniejsze jego podpory: celibat księży, spowiedź uszna i sprzedaż listów odpustowych. Te trzy najbardziej niebezpieczne i nieetyczne urządzenia nowokatolickiego kościoła są obce początkowemu chrześciaństwu. Prawnie również trzeba przeszkodzić potęgowaniu się ogólnoniebezpiecznej zabobonności przez kult cudów (Lourdes, Marpingen) lub kult relikwij) Aachen, Trier).

24. *Religia monistyczna* Skoro pod religią pojmuje się podniesienie ducha za pomocą najszlachetniejszych darów sztuki i nauki, wówczas monizm przyjmuje postać „związku między religią a nauką” (1892). Trzema ideałami tej monistycznej religii rozumowej są prawda, cnota i piękno. We wszystkich krajach kulturalnych zadaniem przedstawicieli ludu jest zdziałać to, by religia monistyczna została uznaną za państwową i równouprawnioną z innemi wyznaniami.

25. *Etyka monistyczna.* Zgodna z przyrodą etyka, która pozostaje w związku z religią monistyczną, dzięki naszej nowoczesnej nauce o rozwoju może być wyprowadzona z społecznych instynktów zwierząt wyższych a nie z jakiegoś dogmatycznego „kategorycznego imperatywu” (Kant). Człowiek, na równi ze wszystkiemi wyższemi zwierzętami społecznemi, musi dążyć do utrzymania równowagi między dwoma przeciwnymi sobie obowiązkami: nakazem miłości samego siebie (egoizm) i nakazem miłości bliźniego (altruizm). Zasadnicze prawo etyki czyli „złote prawidło” wyraziło ów podwójny nakaz obowiązków już przed 2500 laty następującem zdaniem: „Czyń drugiemu to, co chcesz by tobie czyniono”.

26. *Szkoła monistyczna.* W większości krajów kulturalnych, (a szczególniej w Niemczech) wyższe i niższe wykształcenie młodzieży jest jeszcze po większej części okute łańcuchami, które utrzymały scholastyczne tradycye wieków średnich. Jedynie całkowity „rozdział szkoły od kościoła” może skruszyć te okowy. Dotychczasowe wyznaniowe lub dogmatyczne wychowanie religijne powinno być zastąpione przez historyę porównawczą religij i przez etykę monistyczną, wpływ kapłanów (każdego wyznania) na szkołę powinien być wstrzymany.

Niezbędna reforma szkolna musi być dokonana na podstawie nowoczesnej wiedzy przyrodniczej. Większa część wykształcenia powinna być poświęcona rozmaitym gałęziom przyrodoznawstwa, przedewszystkiem autropologii i nauce o rozwoju, a nie studyowaniu języków klasycznych i historyi ludów.

27. *Wychowanie monistyczne.* Ponieważ zdrowy rozwój duszy (jako czynności mózgu) pozostaje w ścisłym związku z rozwojem reszty organizmu, przeto monistyczne wychowanie młodzieży, pozbawione dogmatyczno wyznaniowych nauk kościoła, powino dążyć ku temu, by od najwcześniejszej młodości duch i ciało rozwijały się równomiernie. Codzienna gimnastyka, kąpiel i ćwiczenia fizyczne, wycieczki i podróże powinny od wczesnej młodości rzeźko rozwijać i wzmacniać organizm; musi się obudzić i zaostrzyć zmysł badania przyrody i rozkoszowania się nią. Za pomocą bibliotek ludowych szkół i popularnych odczytów monistysznych trzeba ustawicznie dostarczać strawy duchowej i dorosłym i wykształconym ludziom.

28. *Kultura monistyczna.* Podziwu godna wyżyna kultury, którą człowiek osiągnął w XIX stuleciu, zdumiewający rozwój przyrodoznawstwa i praktyczne zastosowanie tego ostatniego w technice, przemyśle, medycynie i t. p. dają nadzieję dalszego potężnego wzrostu kultury w dwudziestem stuleciu. Pożądany ten postęp wówczas jednak dopiero staniesię możliwym, gdy zostaną porzucone zwykłe drogi przesądów a zamiast nich zapanuje rozumna monistyczna wiedza przyrodnicza.

29. *Związek monistyczny.* Dla rozpowszechnienia w jak najszerszych kołach tego z naturą jednolitego światopoglądu i dla wszechstronnego zużytkowania zbawiennych owoców teoretycznego monizmu na drodze praktycznej byłoby nader pożądanem, aby wszelkie w tym kierunku dążące usiłowania zostałyześrodkowane przez założenie jednolitego związku monistycznego. W tej „powszechnej gminie monistycznej” przyjęliby udział nietylko wyłącznie wszyscy wolnomyśliciele oraz zwolennicy filozofii monistycznej, lecz i wszystkie „wolne gromady, towarzystwa etyczne, społeczności wolnoreligijne” i t. p., które za nić przewodnią swych myśli i czynów uznają jedynie czysty rozum. Kongresy wolnomyślicieli w Rzymie i w Ameryce Północnej (Saint-Louis) nastręczyłyby dogodną sposobność połączenia wszystkich tych rozproszonych sił w jeden wielki powszechny związek monistyczny.

LITERATURA I SZTUKA

Juliusz Słowacki

monografia prof. Tretiaka.

Niebywałego rozgłosu nabrała u nas sprawa przyznania przez Akademię umiejętności w Krakowie nagrody imienia Barszczewskiego dziełu prof. Tretiaka o Słowackim. Kiedy ogłoszono sprawozdanie, powszechne zdumienie zapanowało w sferach literackich, gdyż Akademia, odznaczając monografię prof. Tretiaka, tem samem występowała wbrew całej niemal opinii panującej. Albowiem dzieło to wywołało już po ukazaniu się pierwszej jego części wielkie wzburzenie, gdyż autor jego, nie ukrywając bynajmniej swych uprzedzeń do twórcy „Anhellego”, potraktował go nadzwyczaj tendencyjnie, odzierając ze sławy i zasług. Już krytyk tak objektywny i sumienny, jak nieboszczyk Piotr Chmielowski, wyraził się o pracy prof. Tretiaka jako o pamflecie, posiadającym pozory naukowe. Po wyjściu drugiej części „Juliusza Słowackiego” wśród liberałów i wielbicieli autora „Ojca zadżumionych” zapanował niesmak. Nie szczędzono Tretiakowi ostrych słów nagany. Wobec kultu dla poety, panującego niemal powszechnie w młodem pokoleniu, demonstracyjne wyróżnienie działa Tretiaka przez Akademię musiało się spotkać z protestem. Wystąpiło z nim najpoważniejsze w Galicyi stowarzyszenie literackie lwowskie „Towarzystwo im. Adama Mickiewicza”, po wyczerpującej dyskusyi, zainicyowanej przez zdolnego krytyka—wydawcę pism Z. Krasińskiego—dra Piniego. W dyskusyi przeważało zdanie, że monografia prof. Tretiaka jest poprostu paszkwilem.

Uchwała „Tow. im. Mickiewicza” wywołała prawdziwą sensacyę. Szerszy ogół przyjął ją z prawdziwem zadowoleniem, natomiast część zarządu „Towarzystwa”, składająca się z członków Akademii umiejętności podała się do dymisyi. Zakotłowało się w świecie literackim. Posypały się artykuły polemiczne, traktujące już nie tyle o pracy Tretiaka i jej wartości, co o tem, czy „Tow. im. Mickiewicza” postąpiło słusznie.

Prof. Tretiak w liście do redakcyi „Słowa Polskiego”, odsądza dotychczasowe krytyki jego dzieła od wszelkiej wartości. Dr. Pini, który mu zarzucił fałszowanie cytat gwoli obniżeniu moralnemu twórcy „Kordyana”, zobowiązał się udowodnić to w specyalnej pracy. Przyczynki do charakterystycznej metody Tretiaka, mnożą się coraz bardziej, i fałszywy krok Akademii umiejętności staje się coraz bardziej sprawą szerokiego ogółu. W „Związku naukowo literackim” we Lwowie zwołano zebranie specyalne, poświęcone książce prof. Tretiaka. Referent—dr. Jarecki postanowił zaznaczyć w głównych punktach, co wywołało powszechne oburzenie i w czem przeciwnicy książki Tretiaka dopatrują się rzeczy obrażających ich poczucie sprawiedliwości względem Słowackiego. Głównym błędem dzieła jest to, że w nim teza z góry powzięta, wyprzedziła obraz, a sąd wyprzedził szczegóły, z których dopiero miał wyniknąć. Kamieniem węgielnym całego dzieła jest zdanie, że Słowackiemu brakowało uczucia społecznego, że jego natura była w najwyższym stopniu egoistyczna. Wysunąwszy to na plan pierwszy Tretiak zamyka oczy na inne cechy równorzędne albo jeszcze ważniejsze, wskutek czego daje obraz tendencyjny, jednostronny. Według Tretiaka Słowacki nie znał przez całe życie prawdziwej przyjaźni, w przyjaciołach kochał przedewszystkiem siebie, to jest kochał ich za to, że wielbili jego talent, uznawali jego potęgę duchową, poddawali się jego ideom. Miłość kobiety była dla niego potrzebą raczej ambicyi niż serca; miała służyć przedewszystkiem za aureolę dla geniuszu. Naprawdę nie kochał żadnej, poczynając od Ludki Śniadeckiej, a kończąc na pani Bobrowej. Było to więc serce dziwnie zbudowane, niezdolne pokochać nikogo prócz siebie, szukające po za sobą jakiego sobowtóra. Patryotyzm Słowackiego pochodził nie z serca, lecz z głowy. Prof. Tretiak podnosi jako cechę dodatnią miłość Słowackiego do natury, ale i tę tłomaczy okolicznością, że przyroda nie ograniczała, nie krępowała w niczem jego indywidualizmu, niczem nie drażniła jego ambicyi, lecz uspokajała go i kładła się jego marzeniom pod stopy, widział w niej siebie, symbole własnych stanów duszy. Myśli Słowackiego wypływały zawsze z jednego źródła, z zapatrywania się w siebie, z zamknięcia się w wygórowanym indywidualizmie, a dokładniej mówiąc, z najczystszego egoizmu. Ostatecznym celem dążeń poety była sława poetycka — wielka, niezmierzona. W epoce towianizmu żądza sławy przekształciła się w żądzę świętości. Wszędzie w słowach Tretiaka przebija chęć ujęcia w formułki proste duszy tak wszechstronnej i skomplikowanej, jak dusza Słowackiego, wreszcie uprzedzenie, które w każdem zjawisku duchowego życia poety każe uważać to, co jest niższe, za najistotniejsze. Osią całego dzieła jest teza walki Słowackiego z Mickiewiczem o sławę. Tretiak uważa tę walkę za tradycyę życia poety. Wszystkie dzieła młodzieńcze Słowackiego miały powstać, aby dorównać Mickiewiczowi. Jedynym motywem stworzenia „Hugona”, „Mnicha”, „Jana Bieleckiego”, „Mindowego”, „Maryi Stuart”, „Araba”, „Żmii”, pisanych w latach 1829—1831 jest chęć prześcignięcia „Wallenroda” w duchu bajronicznym. Z późniejszymi utworami Słowackiego Tretiak postępuje tak samo. Np. „Lambro”, jeśli był poniekąd owocem podróży morskiej Słowackiego, to jednak jeszcze więcej trawiącej chęci prześcignięcia Mickiewicza i stworzenia postaci w duchu bajronicznym, którąby przyćmiła „Wallenroda”. Nawet „Balladyna”, jak-

kolwiek stworzona pod wpływem Szekspira, nie Mickiewicza, zdaniem Tretiaka nie była wyjątkiem od tej reguły. Albowiem Słowacki marzył o podniesieniu się na wysokość twórcy „Króla Leara", aby czuć się wyższym od Mickiewicza. Ten motyw konkurencyi z Mickiewiczem jak nić czerwona snuje się przez całe dzieło. Tretiak, wspominając o pobycie Mickiewicza w Lozannie, mówi, że Słowacki „musiał" z zadowoleniem porównywać swoje położenie z położeniem ówczesnem Mickiewicza. „Przyjemnie" mu też brzmiały słowa Krasińskiego o Mickiewiczu, że przeszedł, że przebrzmiał. Dlaczego Słowacki stawił się na ucztę, wydaną przez Januszkiewicza na cześć Mickiewicza? Bo postanowił—mówi Tretiak—skorzystać ze sposobności, aby okazać wyższość swoją teraźniejszą nad tym wielkim przeciwnikiem, którego opuściło natchnienie. Skąd taki wniosek? Dowodów żadnych na to niema, ale Tretiak mówi: „*Znając charakter* Słowackiego, *mam przekonanie*, że z tą myślą szedł na ucztę, i że z tej to myśli wypłynęły dwie tak zwane improwizacye jego na tej uczcie. Tak samo tendencyjnie wyzyskuje Tretiak i listy Słowackiego, nie cofając się przed insynuacyami. Słowacki—zdaniem Tretiaka—goni za bogatym ożenkiem i chwyta się różnych sztuczek w celu osiągnięcia skutku. I znowuż przypuszczenia te opierają się jedynie na „znajomości charakteru" poety. Korzystając z listów Słowackiego, Tretiak traktuje każdy ich zwrot z niezwykłem uprzedzeniem, starając się podsunąć pod każdą myśl poety najgorsze, najniższe pobudki. Nawet miłość Słowackiego do matki ustępuje i podporządkowuje się u niego — zdaniem Tretiaka — względom materyalnym.

Mówcy, zabierający głos po referacie p. Jareckiego, podzielali jego zdanie, potępiając robotę Tretiaka. Tylko redaktor „Słowa Polskiego", p. Zygmunt Wasilewski, wystąpił w obronie prof. Tretiaka, motywując to tem, że uczony winien być wolny od odpowiedzialności za wyniki swej pracy, jeśli się nie kwestyonuje jego założenia i metody naukowej. Ale i ta obrona nie wielką korzyść przyniesie Tretiakowi, któremu wszyscy krytycy jednogłośnie zarzucają nienaukowość metody.

Dyskusya nad książką Tretiaka bynajmniej nie dobiegła jeszcze do końca. Można oczekiwać dalszych głosów krytyki i potępienia dla jej autora, jak i dla demonstracyjnego wystąpienia Akademi umiejętności, która, nagradzając pracę Tretiaka, uczyniła to do pewnego stopnia „na złość" przeciwnikom metody krytycznej Tretiaka, będącym jednocześnie przeciwnikami politycznymi menerów Akademii.

J. W.

NOWE KSIĄŻKI.

M. Konopnicka. **Nowe pieśni.** Warszawa. Gebethner i Wolff. 1905 r.

Nowy tom poezyi Konopnickiej nie dodał nowych blasków jej sławie. Jest to echo jej pieśni, echo oddające dźwięk ciszej i słabiej. Nastrój tu dawny. Dawne ukochanie ludu, rozlewna toń uczucia, skierowana ku cierpiącym i słabym, dawne pragnienie gojenia ran, łagodzenia bólu i niedoli. Jaźń Konopnickiej jest dziwnie prosta i niezłożona. Współczesna męka duszy jest jej obcą. Zna ona tylko jednolite, kryształowe uczucia, nie zna odcieni, półtonów, nie zna wewnętrznego wibrowania duszy. Jest to dusza wiejska, jako kwiat polny i radośnie witający światło, boleśnie odczuwająca noc, tęskniąca za ogólną radością, za otarciem łez, za wiosną serc ludzkich. Pomimo, że wiele w niej rozełkania jest ona jasna i słoneczna. Barw na płatku tego kwiatu niewiele; woń jego niesilna, lecz proste linie kielicha wywierają wrażenie szczere i—czyste. Muzycznie brzmi jej wiersz. Muzykę tę wzięła poetka z pól rodzinnych. Szła łąką zieloną, ukwieconą żółtym i białym kwieciem wsłuchując się w szmer strumyka, w szelest bliskiego boru, w fujarkę pastuszą, w odgłos pól tych i lasów, zbierała ona, nuciła swoją piosnkę i stąd powstały najpiękniejsze jej poezye—z chłopskiej duszy. Smętna zaduma i żałośliwa skarga, żale dziewczyny, przykutej do niekochanego, matki, której Jasieńko wrócił w trumnie z wojny, i ta rozpaczliwa skarga tego, co żali się rosie, że nagi jest i bosy—a głód w chacie. Rozkochana w tej biedzie ludzkiej poetka wypowiada słowa przejmujące prawdą, ciebą grozą i szczerością tego ukochania. W tomiku najnowszym nuta ta brzmi jeszcze, lecz słabiej i chłodniej. Poetka zrywa się do lotu, aby podnosić serca, gasić wątpienie, chce oddziaływać na inne dusze, lecz braknie jej sił, brak żaru. I pozostaje tylko treść myślowa, pozostaje pragnienie czynu społecznego. A pieśń zatraciła swój czar piosenki wiejskiej, zatraciła świeżość wiośnianą, stała się chłodna i wymuszona. Czasem odezwie się głos żywszy: „A jak śpiewać to już śpiewać, jak ptaszkowie leśni, ani widząc, ani dbając, czy kto słucha pieśni". Lecz po chwili ton się poczyna chwiać i niemiły chłód osłabia a nawet niweczy wrażenie. Pozostaje tylko robota i mówienie na zimno. Słowa utraciły zmysłowy swój wyraz i stały się tylko martwymi znakami, mającymi wypowiedzieć myśl jak zawsze szlachetną i podniosłą. Forma niekunsztowna utraciła melodyjność i niewymuszoną prostotę, i poetka naśladuje samą siebie. Miejsce wzruszenia zajął patos deklamacyjny i słyszymy tylko słowa, lecz nie czujemy ich. „Nowe pieśni"—to słabszy głos poetki. Niegdyś pragnienie oddziaływania na innych a nie wyłącznie tworzenia—nie mroziło smętnych tonów jej liry. Dziś—staje się inaczej. I dziś poetka czasem odezwie się silnie i pięknie, lecz w zbiorze, o którym mowa, tych wierszy jej niema. Są tu tylko słowa—same słowa.

Br.

Bohowityn—**Z gruzów**—powieść. Warszawa. Wende i S-ka.

Powieść, jako odrębna gałęź twórczości poetyckiej, ma swą własną technikę, swój własny sposób używania formy słowa i wydobywania z ich efektów piękna. Im ta technika jest bardziej indywidualna, niepospolita, tem talent powieściopisarza jest większy. Istotne dzieło po za całym ogromem innych cech posiada jedną, o której nigdy zapomnieć się nie da: jest ono samoistne, niepodobne do innych, jest czemś, co istotą swą najgłębszą żyje i żywotnością swą odrębną stoi po nad przeciętną masą poczynań, nieposiadających pomimo najbłyskotliwszych igrań z formą owej iskry własnego życia.

Czy powieść „Z gruzów" rozpatrzona z tego punktu widzenia, wytrzymuje to kryteryum? Fabuła jej świadczy że autor posiada pewną kulturę myślową, zna literaturę najnowszą naszą i z niej czerpie nietylko swoje natchnienia, lecz i sposób pisania i formę językową. Przeniesienie tych środków artystycznych z wzorów na własne utwory usuwa odrazu to, czego poezya przedewszystkiem wymaga od swych wyznawców: powieść przypomina inne rzeczy, a więc nie jest oryginalnem, samodzielnem dziełem sztuki. Autor nie daje wizyi swej jaźni wewnętrznej, w której na drogocenny metal przetopione zostały — zjawiska zarówno uderzające wrażliwość z zewnątrz jak i wewnątrz jego duszy, a poprostu przetwarza produkt pracy duchowej innych i dąży do dorównania—wzorom. Naskutek tego brak powieści Bohowityna oryginalnego ujęcia dziejów duszy, które pragnie snuć przed nami. Naskutek tego miejscami pojawia się szablon gadaniny pseudomodernistycznej, słowa, które płyną z ust „bohatera" wywierają wrażenie wymuszonej pozy. Nie jest to szczere uzewnętrznienie się duszy ludzkiej, gdyż stale widać nitkę, za którą pociąga autor, aby pobudzić mówiącego do wykonania tego lub innego ruchu. Dalszą konsekwencyą jest zastąpienie oryginalnej formy językowej gwarą, wytworzoną przez naśladowców Przybyszewskiego i Berenta i zaniedbanie dążeń indywidualnych. A jednak niektóre ustępy powieści „Z gruzów" wywierają pewne wrażenie, są one bardzo nieliczne, lecz świadczą, o zdolności do oryginalnego patrzenia na świat. Całość jednak niezespolona, niezindywidualizowana, jest słabą, zimną i bladą.

B.

O zaburzeniach w Odesie.

W „Prawitielstwiennym Wiestniku" ogłoszono następujący komunikat urzędowy:

Wrzenie wśród robotników miasta Odesy i innych sąsiednich miejscowości w powiecie, dające się zauważyć od pewnego czasu, w dniu 25-tym zakończyło się zebraniem delegatów z licznych fabryk i zakładów, którzy mieli rozstrzygnąć kwestyę o urządzeniu bezrobocia powszechnego. W liczbie tych delegatów, według informacyj, osiągniętych przez policyę, znajdowali się członkowie komitetu miejscowego partyi socyalistyczno-rewolucyjnej, skutkiem czego, wszystkich uczestników zebrania aresztowano, przyczem u jednego z aresztowanych znaleziono list członka grupy rewolucyjnej bojowej, Gillerowicza, w którym to liście wspomniano o zamiarze zabicia jednego z komisarzy miejscowej policyi, wymienionego z nazwiska.

Na drugi dzień rzeczywiście aresztowano w pobliżu cyrkułu policyjnego dwóch ludzi, z których jeden, Monis, oddał drugiemu dwa rewolwery i wyrok śmierci na komisarza.

Następnie 27-go czerwca zaaresztowano na ulicy socyalnego rewolucyonistę Marguliesa. Podczas rewizyi znaleziono przy nim 14 rewolwerów z nabojami, wieczorem zaś tegoż dnia znany policyi Mordka Cypkin, którego policyant zaaresztował — niósł bombę. Miał on zamiar rzucenia jej między wojsko, rozlokowane na placu Sobornym, rzucił ową bombę na ziemię i zabity został na miejscu wraz z policyantem, który go aresztował.

Niezadowoleni z powodu dokonanych aresztowań robotnicy, zaczęli 29-go czerwca zbierać się tłumnie w pobliżu fabryki Hüna, na wezwanie zaś komisarza policyjnego aby się rozeszli, odpowiedzieli rzucaniem kamieniami. Gdy z takiemże samem wezwaniem zwrócił się do robotników komendant seciny kozackiej, zwalili go kamieniem z konia i poranili.

Komendant seciny kozackiej kilkakrotnie przestrzegał tłum, że po trzech sygnałach na trąbce da rozkaz strzelania, tłum jednak dopuszczał się w dalszym ciągu nieporządków, a nawet po drugim sygnale rozległy się strzały z dachów sąsiednich domów. Wówczas na rozkaz komendanta seciny 12-tu kozaków zsiadło z koni, i dali do tłumu salwę, przyczem dwóch robotników zabito, jednego raniono.

W ciągu dnia po mieście przeciągały tłumy robotników. W różnych punktach zaczynały się, to znów przerywały rozruchy; w kilku wypadkach przemocą zmuszano do zaprzestania pracy w fabrykach, urządzano barykady na ulicach, wywracano wagony tramwajowe, strzelano do policyantów, którzy byli zmuszeni odpowiadać strzałami.

Wśród rozruchów tych raniono z tłumu pięciu policyantów.

Wieczorem tegoż dnia robotnicy strajkujący zaczęli okazywać coraz większą śmiałość, zajęli w czterech punktach za miastem plant kolejowy, zagasili ogień w 4-ch lokomotywach, zatrzymali pociąg osobowy, z którego wypędzili pasażerów i wybili szyby w wagonach. W nocy tłum rozszedł się, a tory kolejowe obsadziły dwie kompanie wojska.

W ciągu tych dwóch dni wojsko, jakkolwiek wzywane, nie czyniło jednak użytku z broni. Porządku pilnowała policya, kozacy i patrole wojskowe.

Równocześnie z wrzeniem wśród ludności miejskiej, w ostatnich czasach zauważono ruch wśród włościan w powiecie odeskim, nie dopuszczano się jednak gwałtu ani nad osobami, ani nad majątkiem obywateli. Rozruchy po wsiach przejawiały się w formie żądań podwyższenia płacy roboczej, zapewnienia, że w okolicznych folwarkach tylko ludność miejscowa będzie używana do pracy rolnej i gospodarczej; w kilku miejscach wypędzono przemocą robotników skądinąd sprowadzonych. Zarówno jednak w Odesie, jak i w powiecie wrzenie podtrzymywali ludzie, z innych stron przybyli.

Wzmożeniu się wśród ludności roboczej miasta Odesy wrzenia, które w dniu 15 (18) czerwca przeszło w otwarty bunt, połączony z zabójstwami, rabunkami i podpaleniami, współdziałało następujące, choć niestojące w związku bezpośrednim z ujawnionemi przedtem zaburzeniami w Odesie, ubolewania godne, haniebne i bezprzykładne w kronikach floty rosyjskiej zdarzenie. O godz. 4-ej rano tegoż dnia do portu odeskiego przyszedł z zatoki Tendrowskiej pancernik eskadry czarnomorskiej „Książę Potiemkin Taurydzki", od burty którego odpłynęła szalupa z trupem zmarłego majtka. Nieboszczyka towarzyszący mu majtkowie położyli na łodzi z kartką przypiętą na piersiach, gdzie było napisane, że majtek Omelczuk zabity został przez oficera niewinnie za wyrażone przez niego niezadowolenie z żywności, że wszyscy oficerowie pancernika zabici przez załogę i że z pancernika odpowiedzą ogniem działowym, skierowanym na miasto, jeśli ze strony zwierzchności poczynione będą próby zabrania trupa, lub zbliżenia się do okrętu. Do miejsca, na którem złożono nieboszczyka, poczęły napływać z miasta tysiące robotników i wzburzenie wśród nich coraz więcej wzrastało, zwłaszcza pod wpływem podniecających przemówień, które wygłaszali nad trupem agitatorzy z podwyższenia, specyalnie urządzonego; mówili oni tłumowi o konieczności skorzystania z danego wypadku dla osiągnięcia zamierzonych celów rewolucyjnych. Gdy zaś dla sprawdzenia wiadomości o zabójstwie i ściągnięcia zeznań przybył w szalupie wraz ze zwierzchnością portową wiceprokurator odeskiego sądu okręgowego, majtkowie groźbami i wymyślaniami zmusili go do oddalenia się.

Na zasadzie zeznań jednego z pozostałych przy życiu oficerów załogi okrętowej, oraz marynarza, który w nocy skoczył z pokładu okrętu do wody i dopłynął wpław do brzegu, całe zajście na „Księciu Potemkinie" w ogólnych zarysach przedstawia się jak następuje:

Pancernik wypłynął z Sewastopola w niedzielę, d. 25 czerwca, pod dowództwem kapitana 1-ej klasy Golikowa, do zatoki Tendrowskiej celem dokonania ćwiczeń próbnych artyleryi, wraz z pozostającym przy nim torpedowcem Nr. 267 pod dowództwem lejtenanta Klodt von Jurgensburg.

(d. n.)

KRONIKA

Sprawy społeczne i polityczne. Na zasadzie ukazu o tolerancyi religijnej w Warszawie—jak donosi *Kur. War.*—po chwilę obecną z górą 1,600 osób przeszło z prawosławia na katolicyzm.

— *War. Dn.* podaje wiadomość, że w sierpniu po powrocie do Warszawy J. G. Podgorodnikowa, mają się rozpocząć pod jego przewodnictwem posiedzenia komisyi, powołanej do opracowania projektu wprowadzenia ziemstw do Królestwa Polskiego.

— Osobna komisya przy ministeryum komunikacyi ma się zająć szczegółowem opracowaniem sprawy wypłaty wynagrodzeń robotnikom i ich rodzinom za nieszczęśliwe wypadki przy robotach kolejowych.

— Do rady ministrów nadeszła depesza od gminy żydowskiej w Bobrujsku, ktora wyraża obawę o to, że izraelici będą pozbawieni prawa wyborczego w zgromadzeniu przedstawicieli narodu. Gmina otrzymała na to odpowiedź telegraficzną od rady ministrów: „Obawa wasza jest przedwczesna".

— *Goniec Łódzki* donosi: Wszystkich żołnierzy—żydów, którzy znajdowali się w pułkach, konsystujących w Łodzi, wysłano w głąb Cesarstwa. Wysłanie to rozpoczęło się jeszcze w niedzielę ubiegłą. W tym dniu koleją łódzką wyprawiono 80 żołnierzy żydów.

— Od redakcyi *Polaka w Brazylii* otrzymujemy następującą odezwę: „Wobec tego, że niektóre osobistości, działające w Paranie, rozesłały do pism polskich odezwę, w celu zbierania składek na rzecz tow., nazwanego Macierzą Szkolną w Brazylii, czujemy się w obowiązku zawiadomić Sz. Redakcyę, że owa Macierz Szkolna jest tylko „zręcznym" pomysłem, wylęgłym w głowach kilku ludzi złej woli. Żadne towarzystwo tej nazwy nie było w Paranie zarejestrowane i ustawa jego nie została ogłoszona; nie było żadnych zebrań, wyborów ani sprawozdań. Odezwa owych panów opiewa, że tow. istnieje od r. 1902 pod poprzednią nazwą tow. Szkoły Polskiej w Brazylii. Otóż wiadomo nam, że panowie ci zbierali już składki w Europie, ale otrzymanych sum nigdy nie ogłaszali w Paranie.

— Warszawskie Tow. kopalni węgla w r. 1903/4 miało czystego zysku 286,979 rb. Trzecią część tego akcyonaryusze na ogólnem zebraniu przeznaczyli na kapitał pomocy dla robotników i urzędników a mianowicie: 76,078 rb. na utworzenie szkoły górniczej, 3,039 rb. na polepszenie bytu robotników 5,000 rb. i na różne cele filantropijne 5,000 rb.

— *Wołyń* donosi: Inżynierowie i nauczyciele szkół niższych utworzyli komisyę, mającą zadanie szerzenia wśród ludu artykułów i książek, omawiających sprawy reformy państwowej i życia politycznego. Przedsięwzięcie to ma na celu obudzenie w masie narodu samowiedzy politycznej, wobec nadchodzących wypadków i bliskiej reformy państwowej, kiedy ludowi wypadnie wystąpić w roli czynnej.

— Tow. kredytowe ziemskie wprowadziło już do biurowości język polski, według wskazówek zawartych w Najwyżej zatwierdzonem postanowieniu Komitetu ministrów.

— Niezwykłe widowisko mieli w tych dniach mieszkańcy Winnicy w gub. podolskiej, jak pisze *Hazman*. Gromadki kobiet, chrześcianek i żydówek, tańczyły razem na ulicach. Tańce trwały bardzo długo. Gdy zaczęto badać, co za przyczyna tej radości, pokazało się, że kobiety w ten sposób wyraziły swe zadowolenie z powodu wieści, która rozeszła się w mieście, iż wojna została zupełnie skończona.

Bezrobocia Fabryki pilnikarskie doszły do porozumienia ze swymi pracownikami podnosząc im płacę: rzemieślnikom od 20 do 25 kop. za godzinę, przedtem pobierali tylko kop. 11, robotnikom po 1 rb. za dzień (dotąd byli płatni po 60 kop.) za roboty od sztuki podwyższono o 120 proc. prawie. Wskutek tego jednak podniosła się też cena wyrobu.

— Wszystkie fabryki łódzkie są w ruchu. Z powodu licznie napływających zamówień i wyczerpania zapasów towaru, podwoiły one działalność: robotnicy pracują na dwie zmiany—dniem i nocą.

— W Zawierciu strajkowały zakłady tkacko-przędzalnicze Towarzystwa Akcyjnego „Zawiercie", zatrudniające przeszło 7,000 robotników.

— Podczas ostatniej agitacyi za strajkiem w Warszawie zarządzono w fabryce Lilpop i Rau tajne głosowanie wśród robotników w celu orzeczenia się za lub przeciw strajkowi. Na 897 głosujących, tylko 47 oświadczyło się za strajkiem, olbrzymia zaś większość, bo 850—przeciw.

— W Dąbrowie i Sosnowcu robotnicy strajkowali przez trzy dni. Odbywały się pochody manifestacyjne z czerwonymi sztandarami i pieśniami rewolucyjnemi.

— W Elizawetgrodzie zastrejkowali robotnicy rolni. W wielu ekonomiach powrócili do pracy, uzyskawszy podwyżkę płacy i 12 godzinny dzień roboczy.

— Stolarze i robotnicy w fabryce fortepianów Bettinga w Kaliszu zakończyli bezrobocie uzyskawszy od właścicieli podwyższenie zarobków o 8 do 15 proc.

Rozruchy. *Kur. Kal.* donosi, że d. 29 czerwca wieczorem usiłowano w Kaliszu urządzić demonstrancyę. Policya tłum rozproszyła.

— W Kownie na ulicach miasta rozlepiono ogłoszenia, zabraniające ludności, wobec ciągłych rozruchów, przechadzania się tłumami po mieście i okolicach, zgromadzania się i naruszania porządku.

Sprawy szkolne. Obywatele Zduńskiej Woli w pow. sieradzkim, miasta liczącego 25 tysięcy mieszkańców i nieposiadającego żadnej szkoły, postanowili założyć szkołę realną, cztero-klasową.

— Dzienniki peterburskie donoszą, że ministeryum oświaty postanowiło poczynić znaczne ulgi dla żydów przy przyjmowaniu ich do średnich i wyższych zakładów naukowych.

Hygiena i zdrowie. Do szpitala radomskiego przywieziono d. 27 czerwca chorego z oznakami cholerycznemi. Chory zmarł nazajutrz.

— Czytamy w *Kur. Por.*: „oto przed wielu, wielu laty nietylko hygiena, ale i władze krajowe, nakazały magistratowi urządzenie zakładu dezynfekcyjnego. Potrzebę takiego zakładu stwierdzili kolejno wszyscy naczelnicy kraju. Po napisaniu tomów korespondencyi wreszcie dało się uzyskać pieniądze na budowę i plany gotowe, podobno wzorowe nawet. Również przed wielu laty postanowił zarząd miasta zrobić pierwszy krok w sprawie radykalnego załatwiania się z odpadkami domowemi, które przyczyniają się od wielu lat do szerzenia chorób zakaźnych tak, że Warszawa pod tym względem trzyma pierwszeństwo w Europie. Gdy hygieniści już głos stracili, krzycząc o tem i władze postanowiły, że tak dalej pozostać nie może i gdy wreszcie licząc na logikę faktów i spodziewając się jakiejś korzyści godziwej angielscy inżynierowie darmo zrobili plany zakładu do palenia odpadków, w ostatniej chwili, gdy już miały się obydwa zakłady budować, władza lekarska wystąpiła była z hygienicznym protestem, uznając zapewne, że jeszcze się sprawa nie odleżała w kancelaryach i że lepiej byłoby jeszcze spróbować, jak też cholera bez takich zakładów sobie poradzi. Gdy już i te przeszkody miały zniknąć, zarząd tramwajów przyszedł na pomoc niedołęstwu publicznemu i zawyrokował, że zdrowie jest drobiazgiem w porównaniu z celami wyższymi, i że cholerze daleko daleko lepiej zapobiedz można, zabierając plac na urządzenie instytucyi imponującej pod względem dochodowym. A zatem precz z dezynfekcyą,—precz z niszczeniem bakcylusów; — szukać placów, przerabiać plany i czekać znowu aż kilka choler przez miasto przeciągnie; pieniądze zaś przeznaczone na zdrowie ludzkie lepiej użyć na zasiłki dla koni tramwajowych, bo ludzie, jak się pokazuje, mogą jeszcze poczekać".

Literatura i sztuka. W Kijowie gościł teatr lwowski. Przedstawienia polskie pod osobistym nadzorem dyrektora Pawlikowskiego miały ogromne powodzenie.

Prasa. *Rus. Słow.* pisze: Wskutek telegramu naczelnika głównego zarządu prasowego, inspekcya drukarń wstrzymała wydanie już zupełnie gotowego zeszytu czerwcowego miesięcznika *Russkaja Myśl*.

— *Kur. Sosn.* przestał wychodzić wskutek braku środków wydawniczych.

Wiadomości ekonomiczne. Minister komunikacyi wydał rozporządzenie o ustanowieniu przy wszystkich komorach kolejowych specyalnych agentur, których obowiązkiem będzie załatwiać wszelkie formalności cłowe co do towarów i bagaży pasażerskich na zlecenie kupców i podróżnych. Równocześnie minister zatwierdził wspólną dla tych agentur instrukcyę.

— Według ostatniego sprawozdania Banku szlacheckiego za 1904 r., od Polaków w kraju północno-zachodnim i południowo-zachodnim nabyto zaledwie 14 majątków przestrzeni 9,651 dziesięcin, na co wydano pożyczek na sumę 821.600 rb. od czasu rozpoczęcia przez ten Ban wykupu majątków polskich od 1898 do 1904 r. nabyto 161 majątków z tej liczby w gub. wołyńskiej 51 majątków, w podolskiej 22, w grodzieńskiej 20, w kijowskiej 16, w witebskiej 13, w wileńskiej i mińskiej po 12, w mohylowskiej 9 i w kowieńskiej 6; na kupno tych majątków wydano pożyczek w sumie 18,000,000 rb.

— *Gaz. losow.* pisze: W położeniu rynku pieniężnego, warszawskiego zmiany o tyle zaszły, że nastąpiła stagnacya, wywołana anormalnemi warunkami prze-

myślowymi. Obroty znowu skurczyły się do minimum; niechęć do interesów coraz bardziej się utrwala. Pod tym względem rok bieżący rysuje się jeszcze gorzej, niż poprzedni.

Komunikacye i drogi. W celu połączenia kolei kaliskiej z kolejami niemieckiemi wkrótce rozpocznie się budowa linii od Kalisza do Szczypiorna. Kosztorys ma wynosić 200,000 rb.

Redakcya i administracya *Prawdy* **przeniesione zostały na ulicę Hożą pod Nr. 19,** róg Kruczej.

OFIARY.

Dla nieszczęśliwych grono wołynianek i wołyniaków z Uściługa rb. 24.

Dla głodnych młodzież z Żytomierza 8 rb.

Dla biednych p. Dziakowicz z Mińska 50 kop.

Sprostowanie. W Nr. 25 w artykule „Samorództwo", w 10 wierszu od końca zamiast *bezteoretycyzm*, powinno być *bezkrytycyzm*, zaś w artykule „Przy krosienkach" w 3-ej szpalcie, w 8 wierszu od góry zamiast *przymusowa różnorodność* powinno być *dobrowolna różnorodność*.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено цензурою Варшава, 23 Іюня 1905 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego,—Mazowiecka 8.